



P. II 402

RÓŻNYMI SZLAKI

NOWOROCZNIK LITERACKI MŁODZIEŻY KIJOWSKIEJ

Z PRZEDMOWĄ

KAZIMIERZA PRZERWY-TETMAJERA.

KIJÓW MCMVI.

ODBITO W KRAKOWIE CZCIONKAMI DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO. ○ SKŁAD TYMCZASOWY W TEJŻE DRUKARNI. ○ SKŁAD GŁÓWNY NA UKRAINĘ I KRÓLESTWO W KSIĘGARNI L. IDZIKOWSKIEGO W KIJOWIE.



P.I 702

2. 4. 54.

ZAMIAST PRZEDMOWY — LIST p. KAZIMIERZA TETMAJERA*)

P. * * * Kraków.

Szanowny Panie.

Czuję się ogromnie winnym w stosunku do Panów, i rzeczywiście muszę prosić o wybaczenie — ale jestem tak zajęty moją robotą, jestem także tak oderwany od tego tonu poezyi, jaki panuje w oddanych mi utworach, że poprostu niepodobieństwem mi napisać do nich przedmowę. Pisałbym ją nie-szczerze i pod przymusem.

Już samo zniesienie cenzury czyni wielki wpływ na pisarstwo polskie.

Proszę mnie uniewinnić. Niemogę nakłonić mojej myśli w tę stronę, z której poezye Panów, jakkolwiek są piękne, toczą się przeważnie.

Teraz jest chwila energii, nie melancholii.

Rękę Panu ściskam i wyrazy szczerzego szacunku łączę —

KAZ. TETMAJER.

Zakopane, 20/1 1906.

*) Drukujemy, opierając się na pozwoleniu autora. (*Przyp. Red.*)

WACŁAW BILIŃSKI

GDY ZACHÓD SIĘ
KRWAWI SŁOŃCA POŻOGĄ.
WIECZOREM...
LAS SZUMI.
Z PRZEBRZMIAŁYCH BURZ.



GDY ZACHÓD SIĘ KRWAWI SŁOŃCA POŻOGĄ...

Gdy zachód się krwawi słońca pożogą i rozlewa wokół swe złote promienie, — gdy wszystko w naturze cichnie w jakimś rozmodleniu świętem wnikania w prapiekno, — gdy zmrok oskrzydła swoją tajemniczością zacierwienione obłoki, wierzchołki drzew i czoła gór — gdy osty i głogi kołyszą się echem ostatnich dzwonów na Anioł Pański — na grobie mej duszy wykwiła mistyczny kwiat tęsknoty, bladej jak toń jeziora w cichą noc miesięczną, a takiej rozpacznej, jak złamane szczyty drzew

I duch mój błąka się wtedy w bezmiarach światów, co z jakąś niepojętą grozą i majestatem idą w swym biegu, szczęśliwe, że żadna siła nie wytrąci ich z równowagi, i nie zagasi światła ich słońc

Szczęśliwe...

A jakżeż biednym jest człowiek ze swoim przeznaczeniem, co każe mu żyć w ciągłej trwodze i męce walki wewnętrznej — co wali w gruzy świątynie jego wierzeń i huraganem przewala się przez jego zboląłą duszę —

aż wyczerpany runie z wyżyn swego cierpienia w otchłań nicości, która
rozwiesi nad nim swe skrzydła cichych spokojów, zleje się łaską mrocznej
zadumy

A tam po ugorach piaszczystych, po ścierni zwichrzonej ścielą się dymy
ofiar wszechludzkich, i tuła się ból

A tam tłucze się o krzyże przydrożne, o chwasty na rowach, o zwały
lasów, i wraz bije o siebie smutnem echem — głuchy dźwięk grudki spa-
dającej na trumnę, i dreszczem przejmujące „requiem“ — ostatni śmiech
szyderyczy świata

A tu koło mnie spazm łzawej rozpaczy przeszył pierś czyjąś. — Cicho!
Utuł smutek — ucisz się — biedna...

Bo oto duch mój gdy słońce zachodzi i mrok na ziemię spada —
duch mój błąka się w przestworzach mgławic i sływa ku tobie, zespala
się z tobą, żyje w twej tęsknocie, kładzie zmęczoną głowę na twoje kolana
i tuli w pieszczotach twoją tęsknicę...

I cisza wielka rozłącza swe skrzydła dokoła, i tylko liście topoli wciąż
szepcą swoje rozhowory...

A u nóg twoich łka rzeczna fala...





WIECZOREM

Wstał cichy smutek z pól i ugorów, musnął konary świerków wiekowych — a te zaszumiały skargą bladą, bólem wielkim, że lata całe tak przetrwały, szaleń wichrów bezlitosnych i niszczących targane... — Skarga ta rosła, wzbierała w olbrzymach i zagłuszała pamięć, że miały i one dni szczęścia — dni wiosny i słońca... zagłuszała, kładła wielki głąz zapomnienia...

A gwiazdy rozsiane na niebios sklepieniu, mrugały splekanymi oczyma, przesyłając swe tęskne współczucie umiłowanym drzewom...

I wielka tęsknota smutkiem ciężarna, błędziła w bezkresie...

Hi... hi... hi... hi...

Krótki, jak głos co woła po nocy o pomoc bez cienia nadziei — tępy, bezmyślny śmiech zadrgał wśród ciszy, przełamał się w niszach splecionych wierzchołków, i nie mogąc się wybić nad mrok otchłannych leśnych sklepień — prysł i jął siać się na mchy i paprocie, deszczem drobnych, suchych igieł.

Na zwalonem cielsku olbrzyma leśnego siedział wychudły, nagi, zgarbiony, stary, siwy faun. Do uszu jego doleciał miłosny szept satyra i nimfy...

Hi... hi... hi... hi... śmiał się stary faun z goryczą...

Mgły poczęły wstawać z ziemi, otulając swym mleczem, niby białosiną płachtą, las i wołania ptactwa, które cicho wtórowało namiętnej symfonii miłości, idącej z głębi lasu...

Ponuro i głucho, niby z pod ziemi, rozlegał się od czasu do czasu ostry, gorzki śmiech... Hi... hi... hi... hi...

A gwiazdy rozsiane na niebios sklepieniu, mrugały splakanymi oczyma, przesyłając swe tęskne współczucie umiłowanym drzewom.





LAS^{szumi}...

Niby zwarty szereg kolumn, wyrastał w niebo hardy, smukły, posępnie wyniosły, od burz czerniały — wiekowy bór.

Przez zawieszoną u szczytu iglastą kotarę, przeświecał gdzieś skrawek błękitu.

Na ziemię w mroku spowitą słała się cichość wielka, rodziła bolesne skupienie w sobie, i snuła się przejrzystymi pasmami sinawej mgły, po zasłanej igłami ziemi, po konarach — i zawisała u szczytów cieniuchną pajęczyną.

...Drzewa miały się do snu układać — a przed snem...

las szumi...

Z lekka kołyszają się wierzchołki śmigłych sosen — lecą chwilami długie igły, niby łyzy słodkie, dziękczynne — i płynie przed snem modlitwa cicha, rzewna, — płynie pieśń chwały, pokory i wielkiego umiłowania dla Stwórcy — który mu życie dał...

Las szumi...



Z PRZEBRZMIAŁYCH BURZ.

W niebo przesłane ponurym całunem chmur, i przepasane złotemi sznurami błyskawic, — patrzy szmaragdowem swem okiem otchłań jeziora co rozlewa się ciemną plamą, na mrocznym tle świerkowego boru — i ginie hen, w mrokach dali

Lodygi oczeretów wyciągają swe wysmukłe ciała, ku zwisającym nad samą głębię iglastym konarom drzew, co stoją ciche i potężne, majestatyczne w swej zadumie...

Stoją świerki-olbrzymy niby na straży tych szeptów i głosów, tych tajemniczych baśni, które idą z toni wód w popielate noce księżycowe, kiedy powierzchnia jeziora drga i skrzy się milionem tęczy i skier — kiedy z głębin powstają topielice o bladych twarzach, złotych włosach przetkanych gwiazdami, o ciałach z mgieł i oparów uwitych

Cisza... Złowroga, niepokojem brzemienna cisza rozwiesiła swe skrzydła nad wierzchołkami tytanów, które prostują swe potężne cielska, jak gdyby przed walką zaciętą, straszną, — na śmierć i życie...

Żaden dreszcz obawy lub strachu, nie kryje się w głuchym pomruku tych drzew.

Od stóp do głowy opancerzone w swą iglastą stalową zaciętość — czekają.
Wielka, ponura cisza...

Tam w górze, pełzają już postrzępione szmaty obłocznych dymów,
a w ślad za nimi idą w zwartym szeregu kłęby miedziano-rudych, —
u spodu ołowianych mgławic, — płyną wolno, bez nawoływań grzmotów
przeraźliwe, straszne, męczące swoją powolnością.

Hen, gdzieś na krańcach, walka już rozpoczęta — echo przynosi chwila-
mi stłumione jej odgłosy...

Sitowia przelekkę drżą i mówią pacierze krótkim, urywanym szeptem...

Naraz sygnał blizkiej walki przedarł się z łoskotem przez chmury,
i opadł na drzewa, wodę i ziemię...

Zagrały surmy bojowe gromów i wichrów, zajęły lasy i ziemia, ciężkie
westchnienia podniosły pierś jeziora; świat cały roztopił się w jednym,
metalicznym lśnieniu błyskawic, w przeciągłym huku walki, w jęku śmiercią
zwalonych olbrzymów — skowycie huraganów i w spiętrzonych wodach
jeziora

A ponad tem wszystkim unosi się duch ciemny i błogosławi dzieło
zniszczenia

Teplik, w 1905 r.



STANISŁAW GAWIŃSKI

KSIEŻYCOWE ZADUMY:

JUŻ NOCKA PRÓSZY ROSĄ...

GDY DZIENNE SVOJE LEŻE...

Z MROCZNYCH OPARÓW...

PRZYSZŁAŚ...

SŁONECZNYCH BLASKÓW...

WIDZĘ CIĘ...

NIE – TY NIE WRÓCISZ...

NOC.

Z GWIAZDAMI CZUJĄC...

MROK, CO W SŁONECZNEJ...

CHOĆ PRZĘDZA DNI MYCH...

ZŁOTA KĄDZIEL (I–VII).

KSIĘŻYCOWE ZADUMY



Już nocka prószy rosą —
 Za oknem się zakrada sen,
 Błękitne oczy ma jak len
I główkę złotowłosą...
W mgieł szatę się otula —
 Tęsknota dała mu ją raz
 W jesieni smutnej chłodny czas...
A stara śmierć — matula
Synaczka swego płacze,
 Że poszedł kędyś w obcy świat...
 Hej! tyle lat już, tyle lat,
Jak roni łzy tułacze...



Gdy dzień swoje leże
Porzucą nietoperze,
 Powstaje błędna, szara,
 Z srebrzystych fal,
 I płynie w dal
 Tęsknoty cicha mara.
Jak senne widmo baśni
W miesięcznej idzie jaśni...
 Kwiat lilii wodnej trąca
 Zwojami szat,
 I kona kwiat,
 Umiera lilia drżąca...
A ona idzie dalej,
Po srebrnej, cichej fali...

Z mrocznych oparów bagnistych wód
wieje
tęsknota —
Rozkołysanych słonecznych złud
mdleje
pożłota —
Świetlanych pragnień odwieczny ból
pływie
po lesie —
Melodya gwiazdnych, błękitnych pól
ginie
w bezkresie —
Nadwodnych lilij omdlewa woń
tchnąca
pieszczotą —
I cicho szumi odmętów toń
drżąca
tęsknotą...

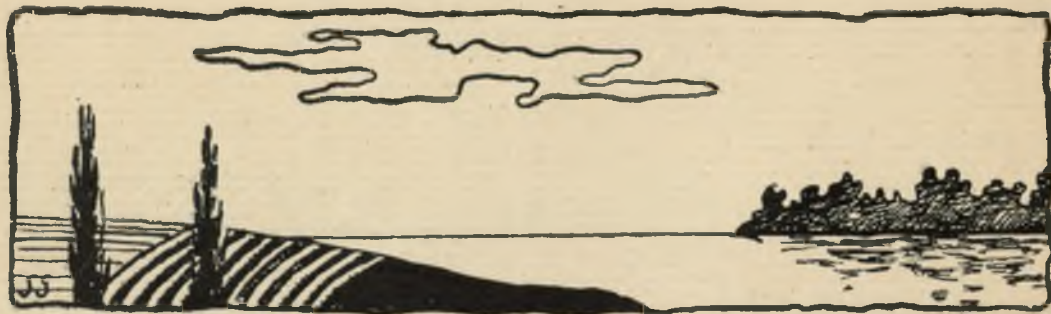


Przyszłaś, jak idą blaski miesiąca
Po igrającej fali jeziora --
Czarem wiosennych upojeń tchnąca --
Przyszłaś jak ciche mroki wieczora...

Przyszłaś, jak słońce w tęczowym blasku,
Lejąc dokoła światła opale --
Jak idą smugi letniego brzasku,
Kiedy się ziemia budzi ospale...

Przyszłaś, jak idą słowa wyznania
Kiedy się serce sercu odsłania,
Pełne wielkiego czaru kochania --

Przyszłaś, jak liści skarga jesienna,
Jak mgieł wieczornych melodya senna,
Przyszłaś -- o boska, jasna, promienna!





Słonecznych blasków snopy całe,
Miłosnej pierwszy dźwięk ballady,
 Jabłonie białe,
 Kwietne sady,
Odurzającą wonią bzy,
Pamiętasz ty?...

Upojne letniej nocy czary,
Kwieciste łąki, zbożne łany,
 Kołowrot stary,
 Las skąpany
W kaskadach księżycowej mgły —
Pamiętasz ty?...

Babiego lata szarą przędzę,
Owiane tęczą ciche drzewa —
 Gdy życia nędzę
 Jesień śpiewa —
Opadłe liście, zwiędłe mchy —
Pamiętasz ty?...

A potem rżnięte mrozem szyby,
I smutek swoją klnący dolę,
Po drzewach niby
 Żyrandole,
Niby zakłete lodem łyzy —
Pamiętasz ty?...





Widzę cię bladą nocą księżycową,
Kiedy się cisza patrzy w gwiazd tysiące,
Co się nad twoją pochyloną głową
Niby złocienie iskrzą gorejące.

Widzę cię białą, jasną, rozkochaną,
W blasku miesiąca srebrzy się twa szata,
Niby się fali morskiej stała piana,
Kiedy na skałach fala się oplata.

Widzę jak idziesz do mnie, gdzieś z oddali,
Tchnąca upojnym, narkotycznym czarem —
Tam, gdzie się gwiazda życia mego pali.

Nad senną wodą, ponad mgieł wiszarem,
Jesteś już blisko!... niebo kryjesz sobą!...
Ach nie — to niebo tylko jest mi tobą!!

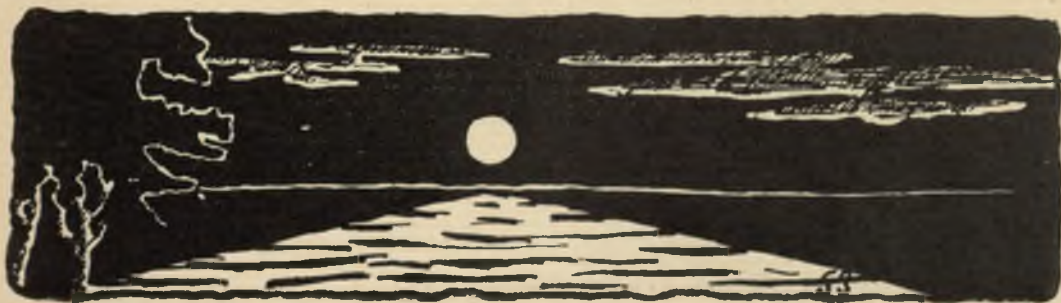
Nie, ty nie wrócisz do mnie nigdy zdala
Już nie powrócisz do mnie cicha, biała,
Jesteś jak promień tęczy, jak fala,
Co siwą morską dal umiłowała.

Już nie powrócisz do mnie z tej przestrzeni,
Ztamtąd, gdzie tylko myśl ma ciebie sięga —
Pośród południa nie wrócisz promieni,
Jak słonecznego blasku złota wstęga.

A jeśli kiedy ujrzę ciebie jeszcze
Z uśmiechem smutku w twoich oczach ciemnych —
Wiem, że to będzie widzenie złowieszcze:
Koniec mych pragnień i tęsknot daremnych.



Noc. Cisza. W kominie tylko wicher jęczy
swoją pieśń pokutną.
Mrok kładzie na wszystko łachman swój pajęczy...
Tęskno mi i smutno.
I patrzę znużony w pustkę tę ponurą,
senną, załzawioną,
I słucham, jak drzewa zwarłszy się z wichurą,
w strugach deszczu toną...!
Deszcz dzwoni o szyby sączy się z okapu,
czerni drzew konary;
Od ścian omroczonych, z kątów, od pułapu,
schodzą ciche mary
Z lat dawno minionych, z lat, co nie powrócą
nigdy już, do końca...
Jak pieśni, co wichry nad grobami nucą —
jak promienie słońca...
Noc. Cisza. W kominie tylko wicher jęczy
swoją pieśń pokutną.
Mrok kładzie na wszystko łachman swój pajęczy —
Tęskno mi i smutno...





Z gwiazdami czując i z nocą zeswatan,
Spoglądam w duszy swej głębię tajemną —
I próżno patrzę gdzie Bóg, a gdzie Szatan —
Kto walczy przeciw mnie, a kto zaś ze mną.

Więc walczyć nie chcę, bo wierzyć przestałem
W zwycięstwa sławę i w dzień odrodzenia;
Dopiero śmierć swym potężnym chorałem
Uderzy w pierś mą, co zda się z kamienia,

Bo nic już teraz obudzić nie zdolna
W jej wnętrzu -- pragnień, uczucia, tęsknoty,
Już nic z niej dźwięku wydobyć nie może...

Co było we mnie kiedyś jasne, wolne,
Zakulem w łańcuch błazeńskiej pustoty —
I sił już nie mam by sił pragnąć — Boże!

Mrok, co w słonecznej rozkocha się toni,
I wiosna za mrozem tęskniąca --
Wicher, co z jękiem za ciszą wciąż goni,
I zima, co pragnie gorąca --
Człowiek, co swoim kochaniem dać może
Ból tylko i bezmiar niedoli --
Są jak te chmury, co lecąc w przestworze,
W podartej kochają się roli.





Choć przedza dni mych ciągle się przedzie,
Pamiętam mych marzeń minione pieszczoty,
I idę w życie jak po kołędzie,
Zbierając smutek nowej tęsknoty,
Zawsze i wszędzie.

Czas legł na szczytów sine krawędzie, —
A jednak się budzą na duszy mej grobie
Snów niewyśnionych czarne łabędzie,
I płyną za mną w cichej żałobie
Zawsze i wszędzie.

Wiem, że już nigdy w myśli mej pędzie
Z pomroku nie znajdę w słoneczne promienie;
Wiem, że już dla mnie szczęścia nie będzie,
A tylko pustka i zapomnienie
Zawsze i wszędzie.

A kiedy śmierć nademną usiedzie,
W szacie, co mrokiem i ciszą utkana,
Ostatnią pieśń z strun duszy dobędzie,
Co pójdzie za mną niezapomniana
Zawsze i wszędzie.



ZŁOTA KĄDZIEL



I.

Kiedyś o cichym wiosennym wieczorze
nadśpiącą wodą,
Złotem płomiennem tuliły się zorze
na pierś jej młodą.
Stała tak jasna, a smutne jej oczy
tonęły w mroku —
Zdała się płonąć w świetlanej roztoczy
jak sen uroku...
Nagle przywarła swe usta dziewczęce
do mojej twarzy...
Dziś — kiedy w smutku opadły mi ręce —
tak mi się marzy...

II.

Okrytą pyłem
mych marzeń tęczę —
Już otuliłem
w hafty pajęczce,
I pokochałem
to, co mię boli,
A zapomniałem
własnej niedoli...

A wicher kędyś miecie
Lipowe, złote kwiecie...

Pamiętam wiosny
Dzień cichy, złoty,
Ten dzień miłosny
i te pieszczoty
Jej białych dłoni,
jak gdyby pęki
Bzów i jabłoni
padły z jej ręki...

A wicher kędyś miecie
Lipowe złote kwiecie...

Pamiętam oczy
jej palające —
I ten uroczy
ich smutek, drżące
Jej usta, głosu
matowe lśnienie,
Jasnego włosu
miękie promienie...

A wicher kędyś miecie
Lipowe, złote kwiecie...

Dziś tylko czasem
w noc księżycową,
Gdy ponad lasem
mgłą siwopłową

Zalegnie w ciszę
smutek bezwiedny —
Gdzieś się kołyszę
skarga zęb biedny...

A wicher kędyś miecie
Lipowe, złote kwiecie...

III.

Dawno to było, jak szliśmy w dąbrowy
cień księżycowy,
Szliśmy jak duchy miłością promienne,
pod brzozy senne.
Kwiaty do stóp się chyliły pachnące
na leśnej łące...
Wtedy patrzyłaś jak gwiazdy nad ziemią
miłosne drzemią...

Dawno to było — już od tej godziny
nas dzieli siny
Mgłą czasu tuman, a szczęście co było —
jakby mogiłą
Leży na drodze do nowej pieszczoty,
jak łańcuch złoty...
Na polach moich młodzieńczych uniesień
zaległa jesień —



IV.

Wędrownie ptaki —

 Zawsze trafiamy w starych tęsknot szlaki,
 Lecąc zapomnieć dawnych snów majaki —
Ja — i te ptaki...

Upadły kwiaty

 Z rąk jej na drogę moich dni przed laty.
 Dziś już pomarły tamte jej bławaty —
Powiędły kwiaty...

I znow tęsknota

 Nić swą pajęczą po badylach mota...
 Słyszę jak kędyś pośród deszczu, błota,
Znow łka tęsknota —

V.

Las kiedyś szumiał w miesięcznym pyle
słowa miłosne...
Już zapomniałaś wieczorne chwile
ciszy na wiosnę,
Gdy rozkochana twa pierś dziewczyno
drżała miłosna...
Leniwie głuche dni teraz płyną —
znowu dziś wiosna.

I nie pamiętasz tonącej ciszą
w krwawej czerwieni
Modlitwy liści, co się kołyszą
w złocie jesieni,
Gdy rozkochana twarz ci pałała
zorzy czerwienią...
Mówiłaś wtedy, żeś mnie kochała...
kiedyś... jesienią...

VI.

Na moją dolę padła mgławica
ciszy, splakana —
I błądzi po niej śmierć-topielica
mrokiem splątana,
A tylko czasem w tę ciszę ciemną
jękiem puszczyka
Zapadnie wspomnień echo przedemną
i jak sen znika...

Na moją duszę spadła tęsknica
liści jesiennych.
Już mi nie snuje srebro księżycy
marzeń promiennych...
Gdy noc oparem siwym oddycha,
i mgła opada —
Na łące co słońca wstydzą się cicha
pustka się skrada...



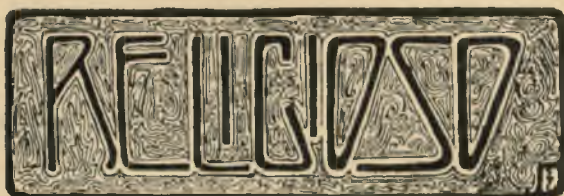
VII.

W pieśczętach jej kiedyś usnęła ma dola
 Jak wiatr poszarpany wśród pola,
Szła kędyś w przestrzeni pieśń szczęściem dzwoniąca
 Od kwiatów, od gwiazd i od słońca.
A dziś, kiedy wszystko już mroczy się, blednie,
 Wciąż słyszę, choć zawsze bezwiednie,
Te słowa co były w mej doli najkrwawsze:
 Jej „nigdy“ i moje „na zawsze“...
I złota ma kądziel całunem żałoby
 Opada na wspomnień mych groby...
Powiędły już kwiaty mej doli pachnące —
 Zabrali im duszę i słońce.



WACŁAW GRZYBOWSKI

RELIGIOSO.
Z DUCHOWYCH PRZEŚNI.



czercowem słońcu skwar się ściele bezwładnym oparem... Powietrze — zda się przesycone — niechętnie chłonie rosnącą powódź blasków. — Na ścieżki polne, co grają cieniem chyboczących zbóż, bławaty się chyłają tajemniczym powiewem barw. — Na ścieżkach polnych dzwonią kroki skwapliwie.

Drogami ciągnie tętent kopyt, turkot wozów; skłębioną falą błąka się tuman kurzu leniwy.

Z oddali powiew upalny, skąpany w złotej połodze kłosów, niesie jękliwe tony sygnaturki...

Skalski stanął u drzwi na ścieżaj otwartych. Widział przed sobą łańcały tułowi ludzkich i kornie schylonych głów.

Z pod szczytu sklepień, z okien rozwartych płynęły potokiem słoneczne promienie, krasily barwy grubą warstwą pyłu pokryte, kładły się szczerem złotem na drzewie złoconem.

Nikłe światło lamp i świec tu i owdzie blaskiem dziwnym padało na szare, w półuśmiechu zmartwiałe rysy starców, skupione oblicza kobiet i skowane niezwykłą powagą, czy przerażeniem — dziecinne twarzyczki.

Śpiewano litanję...

Miarowym ruchem szły w ołtarz słowa modlitwy, i jak las, gdy wien wicher uderzy, szumiało jednostajnie błaganie wiernych. —

Zdawaćby się mogło, że lud ten, pomimo całej swej wiary nie ufa w miłosierdzie BÓSTWA, i po wielekroć razy, z właściwym sobie uporem, powtarza prośbę, by usłyszana była...

A potem wraz zakolysały się głowy, drgnął korny tłum, i z wszystkich piersi buchnął śpiew ufności, i próśb co skargą jęczały.

I był to dziwny śpiew.

Zda się każdy z obecnych, ogarnięty jakąś bezwiedną potrzebą wynurzenia swych bólów i trosk, wylał je teraz w dźwięk pieśni.

Ze wszystkich piersi rwał się jeden rozpaczny krzyk narodu krzyżowanego na krzyżu życia, wśród błota i nędz...

Było w tym krzyku błagalne wołanie o pomoc, i cichy żal, i ciche głębie Wiary...

Umilkło wszystko.

Lud upadł pod ogromem ciężaru — i łkał tylko westchnieniem.

U stóp ołtarzy szumiały skargi tak łagodne, jak bezradne kwilenie dziecka, co już sił niema by wzywać ratunku, i wolno stacza się w przepaść...

Jak akord fałszywy, jak krzyk radosny, przebiegł hałaśliwy dźwięk dzwonka, wraził się w modlitwy szeptane i tłumione westchnienia, obiegł kościół cały, przeniknął w załomy muru najskrytsze, odbił się o wysokie sklepienia i zamilkł.

Od bocznych drzwi, ku światłom ołtarza szedł kapłan w powłóczyście szaty odziany.

U stropu chaotyczną, skłębioną masą rozlały się jedwabne tony organu.

W fali poważnych dźwięków popłynęły z ust kapłana i ministranta zebrzące słowa psalmu; lały się liche a wspaniałe, a ciche a dziwnie rozgłośnie.

Z kolei kapłan, a za nim w imieniu wszystkich wiernych służka kościelny, wyznawali głośno niemoc i nieprawości swoje, a bijąc się w piersi, błagali o zmiłowanie, wstawiennictwo, przebaczenie.

Zamilkły słowa psalmu.

Kapłan wszedł na stopnie ołtarza i mówił: „Panie, Panie nasz, jakoż dziwne jest Imię Twoje po wszelkiej ziemi“ ...

Skalski sparł się o filar.

Pasmem skupionem biegły myśli jego do ołtarza, kapłana i mszy.

Raziły go zrazu ramy wielobarwne owej ofiary. Blaski świec obrzuconych kępami papierowych kwiatów, brudnych i sztywnych; wzorzyste szaty kapłana o papuzich, krzyczących kolorach; niezdarne makartowskie bukiety — wszystko to sprawiało mu ból — niemoc fizyczną...

A potem przyszła mu na myśl wiara większości obecnych, równie pstra a błyskotliwa, zbrukana a pyłem okryta.

I myśl spłynęła w boczne nawy katakumb, gdzie drgały nieśmiałe światełka oliwnych lamp, gdzie ołtarz czerniał i błyszczał jak czarowny źródło, gdzie przez Miłość w duszach działały się cuda, gdzie potęgą nieskalanej wiary brzmiał śpiew męczenników jutra, składających ofiarę na grobach męczenników dnia wczorajszego...

Skalski drgnął nagle —

Od ołtarza, przepelniony mocą, biegł hymn pochwalny głoszący sławę Bogu światów, żywiołów i burz — a pokój maluczkim —

Wpił się uczuciem w tę pieśń. Nie raziło go już kotłowanie się huczących dźwięków organu. Widział tylko ręce kapłana wzniesione w promienie słońca — i po szczelbach promieni tych, dusza jego biegła w światłość.

A tymczasem płynęły już ostatnie słowa hymnu: „Auoniam Tu solus sanctus! Tu solus Dominus“!

Kapłan czuł pewność, że słowa chwalby wonną mgławicą ścielą się pod tron Najwyższego. Wielką falą spłynęła mu w duszę świadomość mocy, i wierzył, że obecnie ów Nieujęty, Niewysłowiony, Niezbadany, był z nim.

Przeto zwrócił się do ludu i chcąc mu udzielić część swej potęgi — rzekł: „Pan z wami“.

Zaś słuźka kościelny, jakby odgadując w duszy kapłana odbicie Nie-skończoności, odrzekł: „I z duchem twoim“...

Popłynęły modły za tłumów tłumy, zebrane pod berłem wiary jednej, a potem na kierownika owej Boskiej owczarni, a dalej słowa nauki mędrców w Chrystusie, olbrzymów uczucia, prostaczków ducha — głosicieli prawd, objawionych...

I chwila przerwy. Chwila oczekiwana...

Od ołtarza przezroczą falą poczęły padać słowa — Jego słowa...

Skalski patrzył w tłum różnobarwny, co zajął ławki, i górował nad szarą masą ludu. Na twarzach spokojnych, martwych nudą lub skupieniem bezmyślnem, dziwny, nieufny półuśmiech...

Wszak ołtarz — to dla nich blask mistyczny zamglonej świętości forma uczczona, przedmiot daleki, tak daleki, że ufność odeń odbiegła...

Nagle uderza Skalskiego wyraz twarzy jednej ze strojnych kobiet zastygłej w rozmodleniu. Oczy zamglone patrzą w przestrzeń przezroczą, co gra smugami barw, to znów ciche a wierzące na ołtarz się kładą.

Skalski poznaje rysy gdzieś widziane.

I wywołany dziwną mocą kontrastu staje przed nim obraz odmienny, co w pamięć mu się wrył.

W cichą noc księżyc błyska raz po raz z za chmur sennych i oświeca łagodnie głębie miejskiego ustronia. Tam w dali — rzeka łśni.

Od sadu z cichym poszumem liści, idzie ciepły odurzający czar. Postać kobieca, wabiącym, miękim ruchem wsparła się o balustradę. Dziwnie błyszczą jej oczy, a w rozkochanych ustach drzy śmiech, stłumiony, gardlany, przejmujący — niedobry śmiech...

W okół niej tłum mężczyzn...

.....

Chwilę myśl stoi przed zagadką...

.....
Kapłan ręce umył, jak sługa natchniony, jak piłat pontski... i przez słowa błagalne psalmu gotował się, aby odejść w przybytek ducha oswobodzonego z pęt świadomości istnienia swego i innych. Miał stanąć na szczytach najwyższych, w miejscu świętem Świętych... Słabość ludzka brzemieniem tajemnym na barki mu legła. Szukał przeto pomocy u Wiernych i mówił: „Módlcie się bracia, ażeby moja i wasza ofiara stała się przyjemna Bogu“ ...

Odszedł... Cisza rozpostarła swe skrzydła olbrzymie i tylko drgała westchnieniem. A w niej jak nagły spiz dzwonu, przeszedł powiew wieczności — „Przez wszystkie wieki wieków!“ ... groźnie brzmiał ołtarz.

I za przykładem Chrystusa, który składał dzięki Ojcu Swemu przed dokonaniem cudu — kapłan cześć Panu oddał.

Hymnem niewysłowionej potęgi wybiegły z piersi jego stłumione słowa uwielbienia i wiary. „Święty! Święty! Święty!“ natchnionym potokiem z ust mu płynęło, biegło od stóp ołtarza, radosnym dźwiękiem dzwonka wraziło się w korne serca wiernych.

A dalej, sługa lichy, poza ołtarzem człowiek marny, obecnie cudotwórca wielomocny — wziął w ręce swoje chleb biały, i oczy w niebo wzniosłszy, czekał wszechpotężnego: „Fiat“.

Więc nagle, jakby mając pewność, że cud na ziemię spłynie, począł mówić zwolna: „Accipite et manducate ex hoc omnes: „HOC EST ENIM CORPUS MEUM“ ...

W tej chwili wydało się Skalskiemu, że symfonią chwały i uwielbienia zabrzmiały nieprzebrane hufce duchów czystych, że potęga jakaś na ołtarz spłynęła, fala światła zalała kościół, w duszę jego zapadła, że coś go pali, porywa, unosi, że przestwór cały przed nim odmętem leży, że...

Padł duchem kornym w proch...



Z DUCHOWYCH PRZEŚNI.

Las mówił mu:

„Dla ciebie poszum trzepoczących mych liści, dla ciebie melodia dzika mych sklepień, wiecznie inna — a wiecznie jednaka, zrodzona w tęsknocie za potęgą burz, za walką z nawałnicą stepową...

Dla ciebie głębie zamglone mych drzew, pełne cienia rozestanego na złotych kobiercach uwiedłego mchu... Dla ciebie nieuchwytna powódź światła i barw, co grają na rozległych polanach, na młodych krzewów wierzchołkach... Dla ciebie potężny, odurzający czar tchnień moich, poświst i grom moich walk — dla ciebie, dla duszy twojej...

Wytrwałość moją weź, w sercu miej potęgę, czar i dumę moich tchnień“...

A strumień szeptał mu:

„W przezroczy kryształ mych wód, w urok gęźby fal moich, w twórczość potężną a cichą mych ramion srebrzystych — wlej duszę swoją. I niech duch twój w promieniach słońca prawdy się jarzy, niech rosą ożywczą padnie na wargi spieczone tych, co szukają źródeł w słońcu skąpanych; niech idzie cichy a potężny — w mocarną walkę serc“...

A gdy, zaśniony, stąpał po skibach gleby rodzajnej, ziemia powiewem oparnym mówiła doń: „Bądź karmicielem dusz“ ...

Pod strzechą rodzimą, w blaskach konających królewskiej purpury sły-
szał liczne głosy: „Praca twa leży odłogiem“ ...

On szeptał: „przestańcie, nie wiecie: duch się we mnie budzi“.

Noc rozpotarłszy swe skrzydła olbrzymie, spowijała go w szaty prze-
zrocze gęstych mgieł, pod stopy mu słała gwiazd mleczną drogę.

I od nich brał rozkaz, by światło słać w gęste mroki — jak one, du-
chem trwać w nieskończoności — jak one, i jak one — błądzić po manow-
cach nieobjętego przestworu.

Gdy czar nocy prysnął, biegł słuchać złotej mowy kłosów, barwnego
śpiewu łąk... A głosy ich mówiły z wyrzutem: „Słuchaj — praca twa leży
odłogiem!“

On szeptał: „Przestańcie! dusza kształtuje się moja“.

.....

Lata mnogie pił z kruży ludzkiej mądrości nektar duchowej potęgi —
i myślą karną, a w mocy nieokiełzaną, szedł w blaskiem pałace drogi prawdy.
Uczył się przez chłodne chwile zamyślenia, i poprzez wzloty błyskawicowe
wyobraźni — myśl jednolitą wysnuwać...

W chwile sennych marzeń nawiedzały go zjawy niezwykle potęgą we-
wnętrzną, plastyką linii, konturów...

Aż nadszedł czas.

Młot i dłuto ująwszy uderzył w bezkształtną bryłę.

Dziwny dreszcz go przejął.

Chwilę stał bezradny wobec nowej epoki ducha, gdzieś w głębiach,
w tajnikach poczętej... A potem ogarnięty szalem, żądzą wylania w kształt
treści zjaw przepastnych, co nękały go zmorą, raz po raz bił młotem o złom.

Pod potężnemi ciosy, marmur wylewał się w formę czystą, w formę
wysnioną, wylewał się w treść...

Gdy skończył — stanął i patrzył w objaw uzewnętrznionej mocy, w linje gdzie całą swą duszę odzwierciedlił...

Wtem dobiegł go dziwny, nieznany dotąd dźwięk.

Przez brudną ulicę powoli sunął pogrzeb. Za lichą trumną tarzała się w pyłe postać bezkształtna ludzka. Z ust jej skażonych grozą rozpaczną, szedł chrypliwy, urywany jęk. Chwilami szlochanie targało jej piersi

On stał bezwładny, miotany straszliwym wrażeniem.

Dwie wizye chaosem wryły mu się w duszę, drgały sprzecznością. Od jednej harmonją szedł chłodny poświst i grom walk, urok gęźby fal, otchłań myśli wieszczów, mędrców, nadludzi... — a w drugiej grały: twarde szal, krwawe czucia rozlewy, i bezład...

Nagle chwycił młot i potężnymi razy druzgotał w proch dzieło swoje...

A gdy domownicy jego stanęli w przerażeniu, i słowa ich brzmiały wyrzutem — on szeptał z uśmiechem świadomości nieznanych dotąd dróg: „Przestańcie! nie wiecie — dusza kształtuje się moja“ ...

Zamiechów, 1905.



WITOLD KLINGER

PRZEKŁADY Z POETÓW STAROŻYTNYCH:

BION FRAGMENT 2

TENŻE FRAGMENT 3

MOSCHOS FRAGMENT 2

TENŻE FRAGMENT 5

TENŻE FRAGMENT 8

PROPERTIUS III 27



PRZEKŁADY
Z POETÓW STAROŻYTNYCH.

BION FRAGMENT 2.

Młode pachole gdy raz, pod stropami dąbrowy zielonej,
Łowi ptaszęta na lep — skrzydlatego Erosa spostrzega,
Jak na bukszpanu siadł sęk i w powietrzu z nim bujał swobodnie.
Cieszy się chłopiec, iż ptak mu się trafia tak wielki i piękny,
Wiążąc więc trzciny do trzcin, z nich pułapki zastawia, lecz Eros
Sfruwa wciąż z szczytu na szczyt i oddala się głębiej w gęstwinę.
Straszny chłopaka zdjął gniew, że daremne są wszystkie mozoły,
Rzuca plecionki więc swe i co tchu do oracza pospiesza —
Starca, co uczył go wpierw, jako ptaki się łowi, — i z skargą
Wskazał Erosa, a ten na gałązce znów spoczął. Tu starzec
Głową pokiwał i rzekł z dobrotliwym uśmiechem chłopięciu:
„Strzeż się ptaszyny tej, strzeż! Nie polować ci na nią, lecz od niej
„Stronić, boć potwór to zły, i chłopięcej twej póty swobody,
„Pókiś nie złowił go raz. Kiedy w mężki, dojrzały wiek wkroczysz,
„Wówczas ten ptaszek, co dziś za zbliżeniem twem trwożnie ulata,
„Zjawi znienacka się sam i na głowę twą spłynie, przekorny“.

TENŻE FRAGM. 3.

Jeszczem w objęciach był snu, gdy Cypryda przedemną stanęła,
W boską ująwszy swą dłoń — dłoń Erosa drobniutką, co wstydem
Chylił do ziemi swą twarz, i promienna, przemawia w te słowa:
„Syna, pasterzu, mi weź i twych pieśni go naucz czarownych“!
Rzekłszy, oddała się wnet. I śpiewałem, szalony, co pieśni
Miałem w pamięci ja mej, jak chłopięciu, nauki chciwemu.
Więc jak wynalazł raz Pan swą ligawkę, Atena swą fletnię,
W rękach Hermesa jak zółw w Apollina się zmienił cytarę
Tegom nauczyć go chciał, lecz nie słuchał mych nauk niecnota
Tylko mi nucił wciąż sam conajpłochsze piosenki, miłostki
Ludzi śmiertelnych i bóstw, wystawiając macierzy tryumfy!
I zapomniałem ja wnet, czegom uczył Erosa, lecz o czym
Brzmiała dziecięca mi pieśń — nie zapomnę już nigdy, przenigdy...

MOSCHOS FRAGM. 2.

Cyprys, gdy syn jej zbiegł, obwieściła po świecie szerokim:
„Kto wśród rozstajnych gdzie dróg, zabłąkanego Erosa spostrzeże —
Wiedząc, że niecny to zbieg — jakąkolwiek wieść o nim przyniesie,
Całus w nagrodę mu dam; kto schwytałwszy go, do mnie przywiedzie —
Całus nietylko już sam, lecz coś więcej otrzyma w zapłacie.
Chłopię niezwykle to tak, iż z dwudziestu wyróżnisz go zrazu:
Liczko nie białe on ma, lecz do ognia podobne, wejrzenie
Ostre, palące jak żar, i choć niecne w nim serce, na ustach
Słodkie on słowa wciąż ma; nie zgadzają się myśli i słowa —
Słowa brzmią słodko, jak miód, a okrutne tkwią w sercu zamiary!

Kłamca, zwodziciel to zły, i igraszką mu ludzkie cierpienie;
W pięknych kędziorach ma skroń, lecz zuchwałość wyrytą na czole,
Drobną ci wyda się dłoń, lecz daleko nią sięgać on umie —
Przez Acherontu uszak toń w Aidowe raz serce ugodził.
Nagim na ciele się zda, lecz na sercu ma twardą pawężę;
Ma też i skrzydła jak ptak — i, fruując wciąż z miejsca na miejsce
Znagła się wciska do serc, utrapienie i mężów i niewiast.
W dłoni niewielki tkwi łuk, na cięciwie zaś strzała napięta —
Rzekłbyś, uczciwy to grot, a w przestworza eteru się wznosi.
Złoty też kołczan mu lśni na ramieniu, lecz strzały zatrute
Kryje we wnętrzu on swem — doświadczyłem ich ostrza na sobie. —
Wszystko choć groźne w nim tak — gorejąca pochodnia, od której
Spłonął pożarem sam Feb, ponad wszystko jest groźną i straszną.
Zocysz, wędrowcze, gdzie go — bez litości bierz w pęta, i w drogę!
A czy roztopi się w łzach, czy uśmiechać się pocznie rozkosznie —
Strzeż się podstępu ty wciąż! Pocałować cię zechce? Uciekaj!
Całus zabójczy to jest, zaprawiony najsroźszą trucizną.
Powie ci: „Oto ma broń — w upominku ją przyjmij“, — złych darów
Dotknąć ty ani się waż! zanurzone ma w ogniu broń ostrze!“

TENŻE FRAGM. 5.

Kiedy błękitną mórz toń, wiatr lekkimi faluje podmuchy,
Wzbiera tęsknotą mi pierś niewymowną, i urok swój traci
Zwykle tak miły mi ląd — pociągają mię więcej wód tonie.
Lecz gdy rozlegnie się ryk przepaścistych odmętów i piana
Wzdętą ubieli pierś wód, i rozplaczą się wały szerokie —
Znów na zielony gdzieś brzeg wraca wzrok mój — uciekam od morza,

Znów mi kochanym jest łąd, i miłemi cieniste dąbrowy,
Gdzie, gdy zaleci dech burz — melodyjnie odpowie mu wiosna...
Ciężki rybaka jest los, co ma łódź zamiast domu stałego —
Losem dla niego toń mórz, a niepewną jest ryba zdobyczą.
Niemasz jak słodko wciąż śnić pod platanu sklepieniem szerokiem,
Słyszac jak szemrze wciąż zdroj, z pod poblizkiej sączący się skały;
Uszu nie tworzy ten dźwięk, lecz je do snu kołysze rozkosznie...

TENŻE FRAGM. 8.

Eros, pochodnie i łuk odrzuciwszy, na ramię swe bierze
Torbę wieśniaczą, w dłoń kij, woły poganiać by nim, —
Twarde im jarzmo na kark nałożywszy potężny, obsiewa
Niwę Demetry, co krok ziarno rzucając do bruzd, —
Groźny on w niebo śle wzrok i do Zeusa tak woła: „Urodzaj
Daj, bo zmieniwszy się znów w wołu — powleciesz mi pług“!

PROPERTIUS III. 27.

Świt niedaleki już był, gdym z hulanki powracał wesołej —
Krokiem niepewnym, bo z sług nikt nie kierował mych stóp.
Nagle otoczył mię rój pacholątek swawolnych, — dokładnie
Liczyby nie pomnę, bo strach nie dał policzyć mi ich.
Zbrojna w pochodnie ich część, część zaś w strzały skrzydlate, część wreszcie
Dźwiga powrozy, i z nich więzy gotować się zda,
Nadzy zaś wszyscy. W tem wódz, co od innych zuchwalszy — zawoła:
„Bracia, chwytajcie go wraz! Dobrze wszak znany on wam?”

„Tego, tego ci nam rozgniewana niewiasta oddała“!

Rzekł — i na szyi wnet mej stryczek rzucony już tkwił.
Drugi opasać mię w krąg rozkazuje współbraciom, gdy trzeci
Woła: „Przepadnij, kto czci boskiej odmówić nam śmiesz!
Ona oddawna cię tam, niegodnego jej łask, oczekuje, —
Do bylejakich zaś drzwi, głupcze, zapukać ty chcesz?
Ona oblókłszy się w biel, z Sydońskiego gdy rąbka wyzwoli
Bujne kędziory, i wzrok śle ocięzały ci swój —
Wiedz, nie arabskich to ziół aromaty otoczą cię w koło,
Boska Amora to dłoń boską rozsiewa tę woń —
Puśćcie go bracia, już dość: zaprzysięga on wierną jej miłość,
Już do wskazanych nam drzwi z jeńcem przybyliśmy swym“.
I narzuciwszy mi płaszcz na ramiona, zawołał odchodząc:
„Idź już lecz odtąd co noc domu swojego ty strzeż“!



LESZEK KONOPACKI

W PUSTYNI.
NAD MORZEM NIEMIECKIEM.
URYWEK.



W PUSTYNI.

Już ołtarz niebieski zajaśniał światłem przed obliczem ciemnej ziemi, po nad milionami śpiących. Serafimy wzleciały na lazurowych skrzydłach ku firmamentom, a każdy niósł w dłoniach naczynie przejrzyste, w którym ogień gwiazdy się pali. Raz wystrzeli błękitnym płomykiem, to znów osłabnie i ścni się jak omdlenie sennej rozkoszy.

I pusto dokoła i uroczystość milczenia panuje w tej wiecznej świątyni. Niema chóru, co mógłby zabrzmieć, ni organów huczących, ni kapłana, który wstąpić by zdołał na podnóże wiecznych tronów, po szczytach białych gór. Tam — w przestrzeni, po nad mleczną drogą wyrasta krzyż, a za promieniami tych jego gwiazd — jest drugi krzyż, który ramionami swemi objął nieskończoność ciemnego nieba.

Daleko od ludzi tu jestem: nikt towarzyszyć mi nie mógł — moi ostatni przyjaciele padli w drodze ze znużenia i skwaru; a ja wciąż szedłem naprzód, szukając serca pustyni, tego miejsca, gdzie żadna myśl ludzi nie dotknie mej duszy. Bo pragnę być samotnym i w tej ostatniej godzinie tak,

jakem był samotny wśród tłumów i przeklęty. A byłem samotny i przeklęty, bom głosił prorocтва i nawracał, kiedy zaś przyszła chwila próby ognistej, przeklęto mię imieniem fałszywego proroka i wysłańca szatana...

Odtąd każde spojrzenie ludzi paliło mię dotknięciem, i duch mój zhańbiony ranami się okrył. Odwrócili się wszyscy odemnie. Świątynie były dla mnie zamknięte, bo bali się ludzie, abym kapłanom serc nie przemienił, a ust ich nie uczynił zdradliwymi w nawoływaniu do zguby.

I drżeli w swych murowanych katedrach, gdzie im żaden wicher nie zagasi płomyków świec w srebrnych świecznikach, i żaden grom nie upadnie jak burza pomiędzy harmonijne szepty organów. U konfesyonałów słabi spowiadali się słabym, i trwożnie pytali: „Czy strasznym będzie gniew Przedwiecznego?”

We wspomnieniach widzę straszne dni próby ognistej. Ludzie poświęcali swe domy, aby złe duchy nie nawiedzały słabych serc, aby żaden cień zagrobowy nie zatrzęsł oknami, ukazując się przed tłumem bladych twarzy. Komety ogniste zjawiły się na niebie, wlokąc za sobą tumany snów i zwycięzycznych ptaków latały z jękiem, krzycząc, że godzina śmierci się zbliża. I jeszcze silniejszym stało się przerażenie.

A kiedy w łunach pożarów zamajaczyły krzyże, na których rozpinano ich bohaterów, jęk rozpaczy i groźby zatrzęsł ciemną nocą.

A ja byłem mocny, i stojąc na wysokim wzgórzu, wskazywałem ku wschodowi, bom wiedział, że noc pełna męki przeminie, a szary brzask świtu roztlł się jasnością coraz potężniejszą.

I wołałem milionom beznadziejnych:

— Patrzcie tam ku wschodowi i ufajcie — godzina męki przeminie, a cień jej chwałą zorzy słonecznej tych umęczonych opromieni!

Stałem sam na wysokim wzgórzu i wiara moja unosiła mię w noc, w zwyż, zkąd oczami ducha widziałem nieobjęty horyzont i przecucie dnia.

Ci, którzy mi wierzyli, wspinali się ku mnie, wciąż patrząc oczyma łzawymi ku krzyżowi, — ku najdroższemu umarłemu, w wieńcu czarnych ptaków, wśród kadzideł dymów na zgliszczach. A kiedy ujrzałem, jak niemi boleść targa, sam pochyliłem się, i patrząc w oddal pożarów, zламаłem się cierpieniem tych bohaterów.

Głos mój począł słabnąć i modlitwa zaduszna, modlitwa tęsknoty rozpaczej zaczęła się wznosić w chórze naszych skarg. Wtedy mię przeklęto.

Lat wiele płynęło potem. Piętrzyły się te lata ubiegłe na zwaliskach wieków i coraz dłuższe cienie padały na mą duszę. Nienawiść dawną załapała smętna mgła smutku; siwe włosy moje i postać schylona — to martwe zapomnienie — to śnieg co zasypuje wszelkie skały i złomy boleścią zszarpane. A tylko w samej głębi ducha przemawia i głos jego potrząsa filarami ciemnego lochu. I coraz donośniej ten głos się rozszerza.

Spokój stał się pustym dźwiękiem słowa bez treści, a zapomnienie — śmiechem morza, nad którym żeglarz modli się o pogodę.

Milczenie teraz mię otacza.

Ono jest wielkiem, bo milczy wszechświat, choć go gwar planet napętnia, i huki meteorów, co w proch pękają, sypiąc ognie i dziwne znaki po niebie.

Ono jest świętem, bo ongi anioł milczenia panował nad ziemią, kiedy Zbawiciel modlił się krwawą modlitwą na Górze oliwnej i w ciszy słuchał głosu swego przeznaczenia, ono jest tajemniczem, bo wszelkie poznanie w ciszy rozmyślań otwiera swe skarby i skrzą się dyamenty, jak żywe światła, kierujące w noc głuchą ku źródłom potęgi.

I duch wtedy przemawia.

Milczenie dziś w niebiosach i przed ołtarzem wieczności cicha msza się odprawia.

Przywlekłem się tutaj śmiertelnie znużony; siły moje już słabną i — jak płomień przed zagaśnięciem po raz ostatni żywiej zabłyśnie — tak duch mój dziś odmawia słowa modlitwy na stopniach ołtarza wieczności, wołając ku gwiazdom w ostatnim wysiłku.

Nie chciałem przed słabem sumieniem, przed starą trzesącą się głową — składać mych cierpień i grzechów, zastygłych w kryształ. Słaby człowiek patrzyłby ze zgrozą, że ludzkie serce tylu umarłych płomieni jest urną, i że tak ciężkie głowy legły w ruinach — i tyle krwi niewinnej i winnej je plami.

Teraz tylko, kiedy już gwar miast ludzkich rozwiął się poza mną, kiedy morze nie szumi w wieńcu skał rozpalonych, w koronie żywych kwiatów, kiedy posnęli w milczeniu ducha moi współbracia z echem żalów i zawodzeń w sercach; kiedy między niebem a ziemią niema mgieł ni piorunów — pochyla się głowa moja z ciężkimi rozmyślaniami wobec konfesyonału wieczności.

I zwątpienie jest w myślach moich.

Geniusze co na lotnych skrzydłach towarzyszą człowiekowi, mają śmiech na ustach, bo widzą go, jak błądzi, a iskiereki migające przed okiem, ma za ognie buchające w oddali.

Przecież był mój czyn życia spełniony, przecieżem nawoływał i wiódł w oddal. Gwiazdy te same widziały, jak szedłem drogą, a za mną szli oni... A jednak niesława, jednak przekleństwo spadło na moją głowę...

Tu, w ciszy pogodnej niema głosów chrapliwych, ni pięści wzniesionych i nie potrzebuje się cofać przed imieniem hańby, jak niegdyś... Ciężar kamienny zwolna ustępuje, i czytam wyrazy ułożone z płomieni świec Twej świątyni. A im głębiej czytam, tem większe jest moje zwątpienie, i zapytuje drżącym głosem: Za coś mię piorunem i światłem uczynił? Za coś mi na wyżyny pozwolił wejść? Czy po to aby ze szczytu lepiej przepaście zobaczyć?

Płomyki gwiazd Twych się chwieją, serafiny różaniec za wszystkich opuszczonych i zbłąkanych odmawiają...

Teraz dopiero, na zachodzie dni moich ujrzałem barwy i ognie, których nie dostrzegałem we dnie. Lilje rozwarły swe kielichy i zaledwie słyszny odgłos ich śnieżnych dzwonów mąci myśli me nowym strumieniem goryczy.

Kiedym szedł naprzód, ku wzgórz, wicher łopotał grobowym głosem i noc się rozwarła gotowa pochłonąć nas wyzstkich i pierwszy zanurzyłem się w noc.

Kiedym chwiał się, obrzucony gradem żmij, co krwią zorały mą duszę, nie miałem nikogo, abym mógł się oprzeć. Świątynie Twe, Panie, były zamknięte i milczałeś, jako i dziś wobec wiecznych świateł ponad pustynią.

Tylko głos wołający, abym wiódł braci moich ku zbawieniu na ziemi, brzmiał wciąż w mem sercu, jak tętno krwi w skroniach, których niczyje dłonie nie ujęły, aby na nich złożyć pocałunek pokoju.

Jam Panie samotny!

U stóp ciemnego nieba na piasku gorącym klęczę.

Modlitwa pokutna nie płynie z mej duszy, bo jeśliś był dumny — to dla cierpienia znikomego, a jeśliś był milczący — to myślałem o największych tajemnicach, a jeśliś był wielki — to Tyś mię takim uczynił!

Życie moje — oto księga rozwarta, z której moc ostatniej godziny zmiata wszystkie popioły — i widzisz mię, Panie, tak, jak ja te lata ubiegłe widzę, pełne promieni i znoju, z czarną koroną i krzyżem na końcu.

Uśmiech jakiś znikomy w myślach się przewija, w gruzach leżą marzenia ludzi, których wodzem byłem — w codziennym płaczu nie słyszą trąb nadziei ni powiewu skrzydeł geniuszów w dal zapatrzonych.

Daleki teraz od nich jestem, ze swą modlitwą ostatnią w sercu. Zbrodnie ich i moje — cierpienia niewinnych i winnych dolatują słabem echem, i z oddali nic już rozróżnić nie mogę. I we własnej swej duszy, z wyżyn samotnych rozmyślań nie dostrzegę już swych grzechów, choć Ty je tam może dostrzeżesz. Tylko swą słabość czuję... ciężar ciała... i cierpienia, formę ducha rzeźbiące...

Słowo modlitwy łączy się z żalem bezbrzeżnym, ze słabym oddechem człowieka, który pada pod ciężarem wielkiego przeznaczenia.

Nogi moje pokrwawione, żar pustyni wysusza piersi. Godzina zbliżyła się. Niegdyś błagałem o natchnienie... dawno to było, tak dawno, że już swej twarzy z dni wielkości poznać nie mogę — między mną i ubiegłymi trudami już tysiąc gór i przepaści wyrosło.

I tylko cienie się chwieją, i tłumy dogasających pożarów z oddali czasem błysną.

Znużony jestem coraz bardziej... o Panie — zapomnienie i nicość bezdenną mogły racz dać mnie samotnemu — abym o sobie zatracił pamięć, o duszy swej nieugaszonej — o cierpieniach i tryumfach, co źródłem ognia napelniły kiedyś me serce. Wieczne zapomnienie w ciszy głębin oceanów, w ciemnościach otchłannej, bezbrzeżnej wieczności!





NAD MORZEM NIEMIECKIM.

Na ciemnej i burzliwej głębi morza zapadało słońce, topiąc cień ogromny coraz bardziej, i rozplywając się krótkimi błyskami czerwieni coraz słabiej.

Fale pędziły porosty zbitą masą ku wybrzeżom, ku ławicom piasku.

Z wieczną tęsknotą szły fale, z szumem niktą, z szumem przeciągłym rozplywając się smugami piany u brzegu.

Czy to w dzień słoneczny, czy o północy głuchej — wielki ocean pędzi swą rozkołysaną zatokę pod mury miast wysokich, gdzie działa i dzwony jęczą piaszczystym wybrzeżom, gdzie fala biegnie bez końca.

Z wybrzeża widać dal granatową, okręty o białych żaglach — i wieją wciąż wiatry o słonym zapachu, szum idzie po fali z krańców ziemi, ślad morza błyszczą na piasku słonecznym.

Rozpacz osieroconych przez morze, smutek i tęsknota osamotnionych żon rybackich, jasne marzenia dziewczyny morskiej — rozplywają się powoli w tym gwarze nieustannym. Bo morze, co tajemnice ziemi pochłonęło, co opływa przepaście polarne, wciąż z duszy splukuje uczucie za uczuciem i rytmem swym kołysze, i pieśnią długą śpiewa gonitwę fal, które idą, słoneczne, aby zginąć na wieki u stóp lodowych tronów.

Dzieci rybackie, dzieci tego morza, nie mają już duszy — tylko jasne, szeroko otwarte oczy, które w dal biegną za mewami; a słuch podchwytuje wciąż nowe dziwy cudownej opowieści o skarbach i ludziach podwodnych.

I pieśń morza kołysze w ich sercach pragnienia dziwne, a myśli wciąż płyną ku niemu — ku morzu.

Nocą, kiedy księżyc na mgłach się kołysze, kiedy czarne wały chmur przewalają się ciężko po niebie — po morzu pełzną smoki zaginione od lat wielu, w głębiach błyszczą miasta zatopione, okręty - próchna.

Głuchy szum niesie tajemnicze, dreszcz budzące głosy.

Dzieci morza zbudzone ze snu temi głosami, drżą w niskich domkach swoich.

„Widać Niksy się gniewają“ szepcą, przysłuchując się niespokojnie gniewom swego bóstwa — swej matki; aż wreszcie jakiś rytm spokojniejszy do snu je ukołysze.

A gdy poranek zaświeci, biegną na brzeg piaszczysty, szukają bursztynu — lez zastygłych, które Niksy wylały, płacząc nad ludźmi. Bo Niksy tęsknią do ludzi, i kochają ich dzieci, które im wszystko mówią, małe dzieci z jasnemi oczyma...

Oto już zgasło słońce, widma - obrazy ściemniały, — i nic, prócz głuchego fali poruszania...





URYWEK.

Siedziałem w kącie salonu.

Naokoło gwar wieczornego zebrania, szelest par tańczących, i walca rytm w dal płynący. Patrzyłem na to nieruchomym wzrokiem, do myśli wszelkiej niezdolny; wrażenia same błyszczącą falą wlewały się do mózgu, połyskiem oczu kobiecych i zapachem perfum wzbudzając dziwny dla mnie, nieokreślony nastrój.

Dokoła uśmiechy miłości, zmysłowością przepojone spojrzenia mężczyzn, a w odpowiedzi śmiech kobiecy nerwowy, drażniący i spojrzenie — niby zakłopotane i pragnące jednocześnie.

Tańczyły pary, wirując w ruchu pół omdlałym.

Piękne były te kobiety w harmonijnych przegięciach — te ich twarze z rumieńcami zmęczenia. Walc się skończył.

Oto jedna z nich się przechadza — urocza i kapryśna kobieta. Z pod czarnych rzęs rzuca spojrzenia na swego tancerza, przechyla się, zwisając na jego ramieniu, szepce mu coś do ucha, wybuchając przytłumionym śmiechem, chwilami usta jej ściągają się jak do pocałunku, a pod kratą ciemnych pasków aksamitu unoszą się i opadają w szybkim oddechu jej białe piersi. I krążą tak po salonie — a oko moje błądzi wpatrzony w jej cudną głowę, zdobną różami.

Marzy mi się nieopisany urok cyganki, kiedy widzę jej oczy podkrążone szafirowym cieniem...

I przypomina mi się nastrój „Cygańskich romansów“, w których tak dziwnie się śpiewa o wiecznym pragnieniu miłości, co porywa biedną, stęsknioną duszę kobiety. A wkońcu — refren, brzmiący jak rezygnacya... zapomniał! Lecz oto po skardze rozstania, po gorzkim żalu nad dolą opuszczoną — z ust cyganki zrywa się westchnienie jakiegoś inne, serce zadrgało pragnieniem, i wyciągając w dal ręce, prosi o chwilę spotkania, już ostatniego, i na popielisku zagasłej nadziei poszeptuje: raz jeszcze cię objąć, raz jeszcze... Ale próżne błagania — jego już niema, zapomniał, może się znużył; porwał go wichur młodzieńczy, rozpęd czynu. A może gdzieś już pełnią głosu męskiego, śpiewa nową pieśń miłości — pokornej i władnej; raz niedbały o nią — to znów u nóg jej pochylony; aż nadejdzie chwila kiedy znów zapomni o tej nowej miłości i będzie ze współczuciem mówić: jam niewinien...

Od fortepianu dolatują mię dźwięki „Cygańskiego romansu“. Słowa we wszystkich są prawie te same — a tylko dziwna słodycz i zalotność kobiety, barwią czarodziejskim połyskiem, falą światła magicznego, niewyszukaną melodyę i jednostajne motywy. A ta, która w tej chwili śpiewała tam, przy świetle kandelabrow — była taką kobietą, i z całej głębi młodej piersi przeistoczona harmonią, płyną słowa drżące dziwnym czarem oddania.

Opodał siedział mój przyjaciel i patrzył, i ogarniał ją wzrokiem mężczyzny, jak stała w ciemnej sukni, z włosami nieco rozwichrzonymi od tańca, ona — kochanka jego.

Mimowoli poddałem się urokowi chwili. Wiedziałem dobrze, że ta kobieta zdradza męża, że jest próżna i rada pochwał i wciąż się otacza grobem mężczyzn — ale w tej chwili, gdy śpiewała, była niewolnicą miłości, pokorną kochanką mężczyzny, dla którego mogła wszystko poświęcić.

Wiem, że to zmysły tak jej piersią rozśpiewaną wstrząsają, a jednak... musi tam być owa odrobinka kobiecej duszy, dźwięk jakiś tej struny, od której uderzeń drga wszystka słabość i tkliwość kobiety.

Nie, nie... zkaąd mi też przychodzi do serca uwielbienie dla pieśni namiętności, którą sprzedajna cyganka przed gwardzistą śpiewa? Niech się kochają, niech nadchodzi godzina rozstania, w której dumna z miłości kobieta, żalem zgnieciona padnie na ziemię. Niech życie weźmie za ręce tych dwoje, zakręci niemi, i ciśnie na głązy codziennej szarzyzny i podłości; niech cierpią ci, którzy boją się cierpieć — słabi i upadający.

Co tam do tego człowiekowi, który własną kroczy drogą, niezrozumiany, z pochodnią dla własnej duszy? Niech życie targa tych słabych, których miłość jest liściem przez wichur miotanym.

Długo siedziałem zamyślony, a kiedyś podniosłem oczy, dostrzegłem we framudze okna tych dwoje, zbliżonych ku sobie, zalotnych i rozmarzonych.

Cóż to? Jakaś nić, nakształt strumyka z górskiej szczeliny, wciska się zwolna do serca -- nić goryczy czepia się poplątanych bezładnie mych uczuć. Oto widzę ich, jak miłością ku sobie płoną; dla niego bowiem, dla niego ta piękna kobieta ma słodkie i pokorne słowa — i szepce mu coś o swych pragnieniach i tęsknocie podczas rozstania. Błękitna chmurka kobiecej duszy owija myśli jego i ciepłą pieścizotą ogarnia.

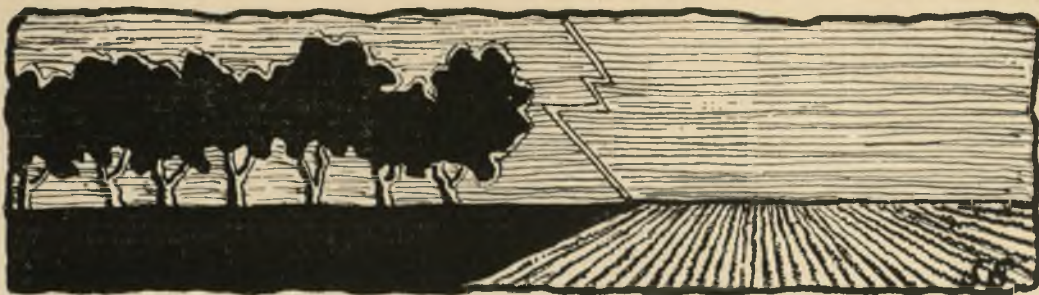
A ja zaś... nigdy nie słyshałem takich słów, ni spojrzeń ku mnie skierowanych. Bo kiedyś szukał tego, coby zadrgnąć ofiarnością i uwielbieniem słowem mogło — dostrzegłem tylko cień nieruchomy w mem sercu. A wtedy mimowolne uczucie politowania nad sobą, coraz dalej poczęło wysnuwać tę nić goryczy...

Zwiesiłem głowę i już nie patrzyłem naokół.

.....
Powoli wypływają marzenia. O, te najdroższe, ze światła utkane twarze kobiet, co umierały z miłości lub urazy, co krwią młode swe życie raniły.. To com sam wypielegnował, com wyśnił i otoczył blaskiem uczuć mych najwnętrznieszych, to wszystko moje — tak żywe a tak nieuchwytnie, drogie mi bez końca — to — marzenie...

BOLESŁAW KOREYWO

NIE SZUKAJ SZCZĘCIA
CUD
CYRK



NIE SZUKAJ SZCZĘŚCIA.

Nie szukaj szczęścia, to złudzenie

To próżny trud...

Jedyne szczęście — znieczulenie

I serca chłód.

Pragnienie wzniosłe?... śmieję się z tego!

To mrzonki mózgu schorzałego,

To próżny trud.

Lecz miłość, wiara, poświęcenie?

W tem szczęście tkwi...

To pustych dźwięków połączenie,

To pięknie brzmi.

Gdy chcesz zwycięzcą być w szermierce

Życia, to najpierw rozszarp serce —

W tem szczęście tkwi.

Co widzę — płaczesz? tęskno tobie?

O znam to, znam!

Nim serce swe złożyłem w grobie

Płakałem sam...

I ja o szczęściu niegdyś śniłem,
I ja kochałem i marzyłem,
O znam to, znam...

Gdy błazen uśmiech szpeci łzami —
Z areny precz!
A myśmy Stwórcy wszak błaznami,
Nad nami miecz!
Nad nami miecz, miecz sprawiedliwy...
Nad szczęściem płaczesz, nieszczęśliwy?
Z areny precz!...





of



of

potkał ją na ulicy, a gdy spojrzała nań z pod rzęs długich głębią swych źrenic nieśmiały z zatrzymał się — i wpatrzył się w nią okiem znawcy. — Bajeczna... pomyślał. — I chłonał w siebie jej młodość, przepiękne linie jej ciała, okrytego łachmanem. Uczuł, jak wlewa się falą olbrzymią do piersi jego natchnienie.

.....
Wziął ją jako modelkę do siebie i począł rzeźbić.

Wykuł ją w marmurze i stworzył Cud...

A spojrzawszy na swoje dzieło ukląkł przed niem w zachwycie:

Boska... wyszeptał.

Dumny był z siebie, dumny był ze swego natchnienia.

A to Natchnienie siedziało w kącie jego pracowni, znów lichym łachmanem okryte i wzrokiem spłoszonej sarny wpatrywało się w siebie... w posąg wykuty... w Cud — i uśmiechało się smętnie.

.....
A gdy ochłonał z wrażenia, przypomniał sobie, że nie jest sam w pracowni, że jest u niego modelka, której winien zapłatę za pozowanie.

Wsunął w jej drobną dłoń papierek i otworzył drzwi przed nią.

Wyszła...

.....
Posłał swą rzeźbę na wystawę.
I stał się sławnym, wielkim, cenionym.
Pozyskał wieńce laurowe, otworzyły się przed nim podwoje salonów,
zgarbiał złoto, holdy, uściski...

.....
Spotkał ją znów na ulicy, skłoniła mu się nieśmiało...
Odwrocił się obojętnie, jakby nie poznając wcale.
Wstydział się oddać ukłon modelce... wstydział się swego Natchnienia...
z ulicy.

.....
Dokuczyła mu cześć zabaw błyskotliwych, cześć hymnów otaczających go pochlebców... Uczuł niesmak.
Zamknął się w swej pracowni. Pragnął tworzyć... czekał tylko natchnienia.
Dziwna pustka...
Wybiegł na ulicę — wszak tam niegdyś spotkał ją przypadkiem, ją —
Natchnienie swoje — Cud...
Dziś nie mógł jej znaleźć...
Leżała w szpitalu umierając z nędzy.
Natchnienie jego...
Wrócił do pracowni.
Smutnym wzrokiem błądzi po ścianach zawieszonych orężem, po szkiełkach niedokończonych, po blokach marmurowych nietkniętych.
W tem spostrzega coś na zapyłonej podłodze... podnosi... papierek zmięty... poznał papierek, którym chciał zapłacić jej modelce — za fatygę.
Zapłacić Natchnieniu swemu — wyprowadzając je za drzwi... aby skończyć.



a arenę cyrkową wyszedł błazen i gestem pociesznym wskazał publiczności leżącą na piasku grubą linę okrętową, której koniec ginął gdzieś za spuszczoną zasłoną. — Splunął w dłoń, a uchwyciwszy linę oburącz, począł ciągnąć ją z wielkim wysiłkiem. — Wyprężyła się jak struna, lecz tajemniczy jej koniec pozostał za zasłoną — ani rusz wydobyć go stamtąd.

— He, pewnie uwiązali doń słoń, domyślał się błazen.

Klasnął w dłonie. Wybiegł w podskokach drugi błazen z głupkowskim uśmiechem na wybielonej twarzy.

Wzięli się obaj do liny, ciągną... ani rusz!

Siedli błazny i nuż się naradzać, jakim sposobem wydobyć z poza zasłony tego 'mniemanego słoń, uwiązanego do końca liny.

A naradziwszy się zaczęli krzyżeć wielkim głosem.

Na ten wrzask wybiegli z ukrycia ich towarzysze, a było ich ze trzydziestu.

Uchwycili za liny, ciągną zgodnie, siłą się, aż im nogi zaryły się w piasku — nic z tego... tajemniczy koniec tkwi za zasłoną.

— Ho, ho, to już nie słoń, to chyba cała góra złota!.. — dowcipkują błazny, oblizując łakomie wyczerwienione wargi.

Publiczność uśmiecha się ciekawie, wietrząc niespodziankę.

Znów naradzają się błazny...

Wreszcie jeden z nich wpada na pomysł: przyprządz parę osłów, może z pomocą bydła uda się im wyciągnąć ten tajemniczy koniec, tę... górę złota, którą siłą ludzką zawładnąć nie mogą.

Wprowadzają osły. Zaprzęgli, uwiązawszy gruby hak do widomego końca liny. Klasnęli z bata — osły ruszyły...

— Aha, mamy cię wreszcie! — cieszą się błazny.

Publiczność wyciąga szyje i zaciekawionym wzrokiem śledzi wyprężoną linę, która się staje coraz dłuższą...

Co to? co to? Patrzcie, lina już nie wypręża się, wiję się i rzuca po piasku, jak gruby wąż, daje się ciągnąć z łatwością...

— Aaa... — zawyli błazny, robiąc głupią zawiedzioną minę.

Na arenę wyslizgnął się koniec liny... a do tego końca uwiązane... co? No, patrzcie: tylko małe, maciupkie szczenię...

Błazny chuchali w zaczerwienione dłonie, a jeden z nich wywrócił parę kozłów i padł na arenę, udając że kona ze znużenia, czy też z doznanego zawodu...

Szczenie skomleć poczęło pociesznie.

Publiczność się śmiała, śmiała się z głupoty błaznów.

Śmiała się... a jutro ta sama publiczność wyjdzie na arenę życia jak błazen i jak tenże głupi błazen uczepli się tej grubej liny, którą zowią „walką o byt“, a krwawiąc swe dłonie i wywracając kozły, ciągnąć będzie ku sobie wymarzony swój Cel, Szczęście, czy jak tam nazwiecie i wyciągnie w końcu... małe Nic.



MIECZYŚLAW KUDELKA

I CO MI Z TEGO...
JEST W MOJEJ DUSZY...
PÓLNOC...
NAD SIMMĄ...



I CO MI Z TEGO?...

I co mi z tego, żem w dni mych godzinie
kosztował słodycz, i przeżył ból gorzki —
że moja młodość bystrą rzeką płynie,
żem miewał różne świątnice i bożki.

Co mi, żem życia łakomy — rad chłonał
trujące leki i zbawcze trucizny —
żem chciał by popiół mi Zniczem rozplonął,
żem jątrzyć lubił gojące się blizny.

I co mi z tego, że zawsze mię nęcił
brzeg w dali siny, szczyt skalny zawrotny —
żem na swych skrzydłach tryumfy swe święcił
jako ów Ikar, co zginął samotny.

I co mi z tego, że kruszę swe serce
na drobne bóle i krótkie natchnienia —
i że się miotam w bezmyślnej rozterce,
i że mię trawi ból wieczny istnienia.

Kiedy ja nigdy, ach nigdy nie byłem
miłości wielkiej i ognistej winny —
bo na rozstajnych gdzieś drogach zgubiłem
talizman serca — mój klejnot rodzinny!

JEST W MOJEJ DUSZY...

Jest w mojej duszy jakaś żądza dzika
za jakimś krajem olbrzymich potworów,
za krajem w niebo wrastających borów,
gdzie śpiewa pean piorunów muzyka —
wre w mojej duszy jakaś żądza dzika!

Jest w mojej duszy jakaś skarga cicha
nad światem pełnym kalectwa i chorób,
i tamujących rozwój życia skorup,
gdzie twór wszelaki boleściwie wzdycha —
łka w mojej duszy jakaś skarga cicha...

Jest w mojej duszy jakaś żądza dzika
za krajem wiecznie młodocianych światów,
krajem pieścących duszę aromatów,
gdzie duch Istotność poznaniem przenika —
wre w mojej duszy jakaś żądza dzika!

Jest w mojej duszy jakaś skarga cicha
nad cmentarzyskiem wiar i ideałów,
nad popiołami wygasłych zapałów,
nad smutkiem serca, które się uśmiecha —
łka w mojej duszy jakaś skarga cicha...

Jest w mojej duszy jakaś żądza dzika
za jakimś krajem namiętych szkarłatów,
smętnych fioletów, myślących bławatów,
kędy się oko z barwą Boga zwyka —
wre w mojej duszy jakaś żądza dzika!

Jest w mojej duszy jakaś skarga cicha
nad nieb życiowych powszednią szarzyną
nad ową Boga tajemną ojczyzną,
której nie zbada pokora ni pycha —
łka w mojej duszy jakaś skarga cicha...





PÓLNOC...

Rondo.

Północ. Cisza marzenia. Księżyc bladolicy
uśmiecha się do ziemi z niebieskich przestrzeni,
i wycudnia ją blaskiem srebrzystych promieni
jak młodzieńczy marzyciel, co swej kochanicy
nadaje barwy tęczy, która w nich się mieni.

Cisza. Czasem gdzieś listek zeschnięty zasepleni,
odezwą się wołaniem dworscy wartownicy,
czasem puszczyk zahuka w gęstwie drzewnych cieni —
Północ...

Nadziejnie kochankowie roją rozłączeni;
złączeni — toną okiem w kochanej źrenicy,
tylko wiecznie posępni wieczni samotnicy
próbują wyrwać chwast ten, co im duszę pleni —
chwast bezpłodnej za ciepłem i słońcem tęsknicy...
Północ...

NAD SIMMĄ...

Hej! słucham gwarów szaropiennej Simmy —
Szybkie, faliste, w dal pędzące nurty
Każdej by łódki potrzaskały burty —
Rzucone w wir ten, z którym gawędzimy.

Mgłą się zachodnią smęcą gór olbrzymy —
Gdzieś w połoninach dzwonią krowie hurty —
Kędyś po halach dymią górskie jurty
We dwójkę z rzeką przyjaźnie gwarzymy...

Dziwne mi rzeczy rzeka opowiada —
Dalekie wieści w bratnim szumie gędzie,
Że ta Daleka — tutaj jest i wszędzie —

Że jest tak tęskna — ach i taka blada...
Że jasna, dobra, cicha jest i młoda —
Ach, jak ją dobrze zna ta góraska woda!..



EDWARD LIGOCKI

NAD PRZEPAŚCIĄ
ŚLADAMI WICHRU
NOCE PONURE
Z CYKLU: „CMENTARZYSKA“
SONETY: WIERZBA PRZYDROŻNA
BIAŁE ŁABĘDZIE
MOGIŁY
Z CYKLU „WIŚLANA TOŃ“
DO ALBUMU W. P.
POTOK
SALVE AETERNUM
Z TATR
DZWON
MISCELANEA

NAD PRZEPAŚCIĄ.

W odległej, obcej, zapomnianej stronie
nad skalnym brzegiem szarej, mętnej rzeki,
kędy porankiem nad przełęczą płonie
słonecznej jutrzni krwawy blask daleki —
kędy w spiętrzonych obłoków koronie
szczyt, wyszczerbiony przez ubiegłe wieki
dumne swe wznosi ku niebiosom czoło —
wplotłem mą duszę w błędnych wspomnień koło...

Nad głową moją wznosiły się skały,
otchłań przepaści czerniała podemną;
nad nią — skarłałe drzewiny zwisały,
wpatrzona w głębię nieznana i ciemna,
i przyjscia śmierci - zbawczyni czekały —
która je strąci w tę otchłań tajemną,
która je z pasma szarych dni wyzwoli,
krusząc pęk ogniów łańcucha niedoli.

Szum wodospadów nad przepaść dolata,
szmer starych borów rosnących w roztokach;
z jej brzegu widać szmat jasnego świata:
górskie pastwiska na skalistych stokach

szmaragdem lśniące, gdy wiosenna szata
świat zazieleni; gdy w lotnych obłokach
zabłysną tęcze — po których w wyż płyną
duchy, stęsknione za niebios krainą...

A na tle blasków, kwiecia i zieleni,
czarna przepaści głębia się roztacza;
gdy się na wschodzie jutrznia rozplómi,
gdy się w skier morze niebo przeistacza —
ona wciąż mroczna.

„Pożądaj śmierci — choć cię lęk odpycha“ ...

Berno, w marcu 1905.





ŚLADAMI WICHRU.

Wiatr polny kędyś jęczy w nadbrzeżnej olszynie
ponurą pieśń żaloby,
i niesie ją po łzami zalanej krainie
między krzyże, groby,
na cmentarzyska...

.....
Tęsknica nad grobami ze łkaniem przelata...

a krwawy ból
wlecze mą duszę wśród pustynnych pól,
smutkiem zalewa...

a dusza łka i śpiewa
żałobną pieśń...

A wiatr stepowy
pędza po polu zeszłoroczne liście...
a ziemia nawpół ścięta mroźnemi okowy
czeka na wiosny - zbawicielki przyście,
by znów ją strącić w zapomnienia cień,
by znowu nastał
jesienny, słotny, zażawiony dzień...

.....
Wiatr łka, zawodzi w nadbrzeżnej wiklinie
jękliwą śpiewa pieśń sierocą —

śpiewa tęsknotę po jasnej krainie,
kędy wciąż jutrznie poranne się złocą,
jutrznie wiosenne, promienne...
I wstrząsa wierzby schylone nad wodą,
i bije falą o brzegi błotniste...
pędza przed sobą jesienne, mgliste
całuny chmur.

A wierzby rosochate rozhowory wiodą
o wiecznej swej niedoli, o wiecznej boleści...
a zeszłoroczny, zwiędły liść szeleści
zwichszony ponad zgniłą pomąconą wodą.

.
Unoszą się mgły szare,
po polach rozmokłych, po gajach dawno ściętych,
po rżyskach kiedyś, dawno — dawno zżętych...
Unoszą się mgły szare
nad wyrąbanym lasem,
gdzie dęby stare
leżą martwe...

Czasem

silniej wiatr wionie
przez sieroco puste błonie...
szarpnie zeszlęmi łodygami
pokrzywy,
szarpnie kolczastymi krzewami
tarniny;
targnie samotny krzak kosodrzewiny —
zatrzyma się przy schylonej Maćkowej stodole,
rzuci się — wśliźnie — ponastrasza grzywy
na słomianym dachu — i popędzi w pole —

w szare, rozmokłe pole...
To wędrze się w zeschnięte trzciny,
bujnie wyrosłe na grzązkiem bagnisku,
pokręci je, połamie...

To rzuci w wikliny
sterczące na zalanym wodą trzęsawisku
ponurą pieśń żałoby —
to ją poniesie nad krzyże i groby
na cmentarzyska —
ponurym jodłom znów łzy powyciska
i zawiesi na igłach...

Powódź łez zalewa
świat cały...

Każda mgiełka płacze
nad swą nicością...
A wicher łka i śpiewa
żałobną pieśń...
do spleśniałych grobowców kołacze...
Świat łka

placze...

zawodzi...

.....
Tęsknica nad grobami ze łkaniem przelata,
a krwawy ból
wlecze mą duszę wśród pustynnych pól...

.....
Rozpaczny, krwawy ból...
.....



NOCE PONURE.

*»Fratelli, a un tempo stesso, Amore e Morte
Ingenerò la sorte«!*

Leopardi.

Gdy się noc ciemna na ziemi rozłoży
i chmury czarne horyzont zasnują;
gdy zgaśnie błędny, ostatni blask zorzy
i Moce ciemne nad dniem zapanują —
jakieś postacie, w półmroku komnaty
snują się, sypiąc błędnych marzeń kwiaty...

Zda się, wracają te dawno minione
szczęśliwe, lepsze, a tak rzadkie chwile,
znów płoną ognie, dawno pogaszone
łzami, na marzeń najdroższych mogile,
nad którą jodły schylone zwisają...
Wiatr niemi targa... a gałęzie łkają...

Zda się, jesteśmy znów w naszej świątyni...
przez okno promień krwawej zorzy wpada,
wiedną konwalje...

Hen — gdzieś — na pustyni
Anhelli ręce nad umarłą składa,

lęka się chwili gdy ją w trumnę złoży...
Na obraz pada krwawy odblask zorzy...

Czemu tak zimne twoje białe dłonie? —
czemu przymknięte twoje tęskne oczy!
spójrz, jak tam zorza na zachodzie płonie —
wnet ją mrok nocy pokona, otoczy
swoim całunem... Czemu twoje dłonie
tak bardzo zimne? rozchmurz blade skronie...

Czemu twa głowa tak zwisa bezwładnie?
czemu twe usta pełne krwawej piany?...
Tyś martwa!...

*
Zastęp cieniów twą duszą owładnie
oddali ją...

Jak mroczne są te puste ściany...
Jak ten obraz ponurym, krwawym blaskiem pała...
Wszak w nim złowróźbnych przeczuć głębia cała...

Ja w to nie wierzę, że już niema ciebie —
ty jeszcze żyjesz! wróć!.. wyciągam dłonie...
Anhelli pewno już umarłą grzebie,
a nad jej głową aureola płonie...

*
Jakiś cmentarz... mogiła... jakiś krzyż ponury...
roztrzaskam!... zburzę mauzoleum mury!...

Rzucam się!...

*

Noc na ziemi swe mroki rozlewa
za oknem deszcz szeleści... w szyby zcicha dzwoni...
wiatr targa załzawione, rozelkane drzewa...
Mija sen... jakieś widmo nowy obraz goni...

Wierzchońnia w kwietniu 1905.





Z CYKLU „CMENTARZYSKA“.

I.

Na cmentarzysku szemrzą graby, cisy...

Jest na niem cicha, samotna mogiła
nad którą kwitną złotawe irysy —
Rychło je zniszczy żywiołowa siła
i zamrze zieleń na spokojnym grobie...
jesień nastanie i w łzawej żalobie
powiedną kwiaty...

Za Tobą — w zaświaty —
rwę się — nie mogąc pokruszyć kajdanów —
błądzą wśród szczytów i skalnych przełęczy —
szukając Boga — czy jaskiń szatanów —
huku piorunów — czy świetlanych tęczy —
i krwawię czoło o krawędź granitu
wpatrzony w jutrznie Wiecznego Błękitu!...

Jeśliś mię skazał na rychłe skonanie,
Boże — co władasz Wszechświata bezmiarem —

jeśli w Wieczności cichym oceanie
mam się mistycznym unosić oparem —
to ześlij śmierć mi wśród tego cmentarza —
u stóp grobowca — mej Świętej ołtarza...

Więc daj mi, Boże, w cichą noc majową
spowitą mgłami księżycowej fali —
tę śmierć promienną — która nad mą głową
jasne zarzewie Wieczności rozpali,
która mnie wzniesie ku Tobie, w wyżyny —
w nieznanne — tajne — bezkresów krainy...

Kraków, w czerwcu 1905.

II.

Godzina skonu już się zbliża,
ostatnia moja chwila...
Gwiazda nad morską toń się zniża,
w oddali kona echo dzwonu...
Ostatnia chwila już się zbliża,
godzina mego skonu...

Jesienne liście, wyłoczone
na ziemię zcicha płyną...
gdzie zeszlóroczne — spopielone
ostatnie tracą tkanie...
spływają liście spopielone
na ciemnych mchów posłanie...

Nieście mię — fale — szare fale —
hen — w nieskończoność — hen —
gdzie na wyniosłej, stromej skale
błogosławieństwo ciche spływa,
gdzie brzask ostatni dogorywa,
gdzie wieczny spływa sen!...

.....
Godzina skonu już się zbliża
ostatnia moja chwila...
Gwiazda nad morze już się zniża
w oddali wschodzi Jutrznia zgonu...
Ostatna chwila już się zbliża...
już mi ją wieści echo dzwonu...



WIERZBA PRZYDROŻNA.

Wierzba spróchniała, sękami pokryta
stoi nad drogą rozmokłą, błotnistą,
owiana przedzą subtelną, srebrzystą,
która z nabrzmiąłych gałązek wykwita —

Wędrowca drzeniem konarów swych wita —
szumem żalonym prowadzi w dal mglistą...
wita swym szmerem jutrzeńkę złocistą,
która tak rzadko w pełni blasków świta...

I lata całe, jednostajne lata
stoi nad drogą, i schnie, i próchnieje,
i widzi całą beznadziejność świata...

I wie, że zgaśnie brzask, co teraz dnieje...
lecz stoi, czeka, wierzba rosochata,
żywy drogowskaz w śnieżyste zawieje...

W drodze do Skwiry w kwietniu 1905.



BIAŁE ŁABĘDZIE.

Białe łabędzie po górskim jeziorze
płyną spokojne, w dal nieznaną płyną,
gnane tęsknotą za jasną krainą
rozsnutą w- sinym, rozlewnym przestworze...

Białe łabędzie płyną w mgławce morze
gnane tęsknotą za niebios wyżyną...
Nieprędko skrzydła srebrzyste rozwiną,
by wznieść się w jasne, promienne bezdroże...

A choć za nimi huczy grzmot za grzmotem,
a w sonej dali wieczne lśnią się świty
w promiennych blasków obramieniu złotem...

Łabędzie płyną — wpatrzone w błękity
nie mogąc nagle w nie się przenieść wzlotem —
w wyżynie grozą zieją śnieżne szczyty!..

Jedownica u Blanska, w marcu 1905.



MOGIŁY.

I nic już nie mam świętszego na ziemi
nad te spokojne, zielone mogiły,
które grobowym całunem pokryły
krwawe tragedye, zamarłe pod niemi...

Tonę w ich głębiach myślami mojemu
wspominam dusze, co w tych ciałach żyły
zanim w bezmiary przezrocze się wzbiły
niesione skrzydły aniołów złotemi...

Wspominam chwile takie jasne, czyste,
tak harmonijne w naszych dusz zespole,
takie pogodne, takie promieniste...

Stygmat tęsknoty krwawi na mem czole...
a blade słońce niegdyś tak złociste
innym wciąż jasno lśni na łez padole...

Kraków, w marcu 1905.





Z CYKLU „WISLANA TONIA”.

Samotny płynę na samotnej łodzi...

Nad rzeczną tonią unoszą się zwoje
skłębionych, szarych mgieł,
oparów, niespokojnych, jak tęczowe roje
blasków witrażnych szkieł...

Po brzegu rycerz w stal zakuty chodzi...

Samotny płynę wśród wiślanej toni,
samotny żagiel zwisa już bezwładnie...

A od błoni — kwietnych błoni
zastęp cieni — cienie goni
fala szemrze — jęczy — mknie...

Żagiel zwisa już bezwładnie,
rzeka szemrze cicho, zdradnie...

Czasem blask na fale padnie
księżycowy promień padnie
i zamąci korowody,
które płyną tak powiewnie
tak szeroko — tak rozlewnie
ponad szarą taflą wody
pomarszczonej uśmiechami
srebrnopiórych fal...

Fale pędzą za falami
liżą brzegi
fal szeregi,
płyną, płyną w dal!

Jak te cienie tęskno płyną
nad wiślaną, nad wzburzoną
nad głębiną...
na zachodzie zorze płoną...

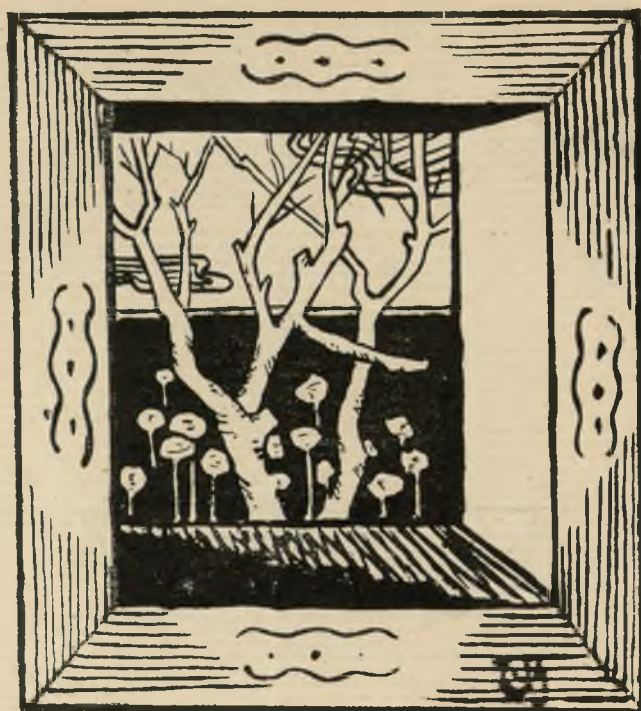
Czy widzicie te zastępy,
jak się kryją między skały,
kruki — sępy —
jak się kłębi tuman biały!

Na zachodzie błędą chmury,
krwawe zorze już pomarły,
a wichury
całun mgieł o szczyty wsparły...

W księżycowej mlecznej fali
zastęp cieni — cienie goni —
 niknie w dali —
 wśród matowej, mglistej toni...

W ruinach Tynieckiego zamku 1905.





DO ALBUMU W. P.

Na otulonym w cień lazurze
 lśni rozświetlony sierp księżycy,
 w matowym blasku toną róże —
 ciszę upojna woń przesyca...

A z ukwiecionej ciemni sadu
 sinawy lęk oparem płynie —
 przepływa cicho i bez śladu
 i hen — gdzieś w sinej dali ginie...

„Niewdzięczny smutnej ziemi synu!
czemby już były twe marzenia —
gdybyś w nich wzniecił żar płomienia —
gdybyś je zaklął w granit czynu!“
zda się, że płyną ciche słowa
wśród roz tęsknionych fal księżyca.

„Pamiętasz, kiedy sad przesycą
marzeń twych powódź opalowa? —

Pamiętasz, kiedy dzwonią liry
wśród tęsknych, bladych złudzeń kwiatów —
pośród konwalij i bławatów?

Pamiętasz, kiedy nieb szafiry
trystają złotych skier kaskadą?
kiedy się cienie senne kładą
na wędniejące białe bzy?

Dziewiczej trumny pomnisz kiry —
i twoje łzy — perliste łzy?“

.
„Miesięcznych blasków srebrną toń
rozkwitłych pąków rój —
upojną woń — różaną woń —
i natchnień zdroj,
Czyż posiadał skarbiec twój?



POTOK.

Potok się rzuca z granitowej skały
w przezroczą toń jeziora,
potok huczący, dziki, rozszalały,
spieniony, potłuczony o krawędzie skały,
ryczący, wściekły, głuchym gniewem biały...
Potok się rzuca w siną toń jeziora...

Potok się rzuca ze skalnego szczytu
i spada po krawędziach do górskiej kotliny,
i niknie wśród modrego, jasnego błękitu,
którym się mieni przestwór srebrnosiny
jeziora chłonnącego z podniebnej wyżyny
lazar — a z brzegów zieleń chryzolitu...

Potok się rzuca w te bezkresne tonie,
w których chce znaleźć zapomnienia czary,
w których chce zgasić i ten płomyk wiary
we Wieczność Bytu, który w każdym płonie...
Potok się rzuca w kryształne bezmiary...

Potok się rzuca w jeziorne otchłanie,
pragnąc w nich zniszczyć szalone kochanie...

Potok bezsilny, w beznadziejnym gniewie
rzuca się w jezior niezmierzone głębie,
pragnąc zagasić płonące zarzewie,
które przepełnia to serce gołębie,
zakłęte, jak królowna, w granitowym zrębie,
w kryształnej, chłodnej fali,
w której żar się pali...

Potok pożąda nicości, niebytu,
i bezmiernego, świętego spokoju
i odpoczynku po życiowym znoju,
chce się rozplynać w powodzi błękitu...

On pewnie marzy, że tam kres istnienia...

Kocham tę rozpacz górskiego strumienia,
tego wysłańca — Wielkiego Górala —
który, nieświadom, królownę wyzwala,
krusząc swym pędem kamienne więzienia...

Potok nie ginie w głębokim jeziorze,
on tylko zmienia formę bytowania;
i przepłynąwszy lazurowe morze,
powraca wiecznie na kamienne łożo,
walczyć o wolność wiecznego kochania...

Potok wypływa szerokim korytem
razem z innymi wysłańcami Losu

i wiecznie stęsknion za jasnym niebytem
z wściekłością znowu szarpie pierś kolosu
pierś skalnych gór
pędem pienistych piór...

I pędzi walcząc, aż do głębin morza,
z tamąd się znowu unosi oparem
ku szarym łonom chmur...

Czasem, stęskniony za jasnym bezmiarem
całowan usty słońca, z kamiennego łoża
smugami lotnych piór
unosi się ku mgławym, szarym łonom chmur...
I znowu spada na skalisty zrab
i znowu mknie
wybrzeża rwie
i wpada w modrą głąb...

I królowę zaklętą
nieznaną, świętą,
wyzwała.

Morskie Oko, w czerwcu 1905.



SALVE AETERNUM.

Wygnańce stepów! szalone wichury
rozłamcie grobów znikome sklepienie,
pokruszcie zimne, nieczułe marmury,
groźnemi ciosy — rozniećcie płomienie —
i w głuchym ryku — w zniszczenia zapale —
rzućcie — jak echo w niezmierzone dale
Salve Aeternum!

Hejnały z wieży wzywają oddawna,
byście już przyszły, pioruny i burze —
na barkach świątyń cięży przeszłość sławna,
wykuta w tablic zczerniałym marmurze
i wzywa hejnał co wieczór z wieżycy
Anioła Śmierci w glorii błyskawicy —
bo cięży przeszłość na kamiennym stropie —
i brak już mocy cisnąć Europie —
Salve Aeternum!

I stoją mury — stoją niewzruszone —
i milczy organ — Zygmunty nie dzwonią —
i tylko gromy — w TWORACH rozrzucone
pamięci zmarłych bohaterów bronią!
Syny rycerzy! Stańcież się wy godni
ku chwale ojców wznieść blaski pochodni!
Niech z waszych piersi na skrzydłach wichury
krzyk tryumfalny wzbije się pod chmury
Salve Aeternum!

Kraków, w lipcu 1905.





FRAGMENT.

Są dusze ciche... a takie niebiańskie
takie mocarne w cichym dni rozkwicie,
że mogą wzniecić obumarłe życie,
niszcząc — co krwawe, piekielne, szatańskie...

Są dusze srebrne — jak Cheruby Pańskie,
płynące lekko w przezrystym błękitcie,
a takie blade — jak księżyc o świcie —
a takie dumne — jak wirchy Tatrzańskie...

A gdy się przed kim taki kwiat rozchyli,
skroń mu otoczy nimbem poświęcenia
i zgoi krwawy ślad bolesnej chwili...

Gdy zwiędną pierwsze lilje upojenia
gdy pierzchną niby srebrzystych motyli —
śniegowa chmura horyzont zacienia...

Są dusze smutne — przepojone łzami,
żądne wyzwolin, Edenu, niebytu —
dusze — strącone ze szlaków błękitu —
zmuszone błądzić ziemskimi szlakami...

Są dusze smutne... zwiędłymi kwiatami
chcące zasypać przepych blasków świtu,
w zaraniu życia już pełne przesytu...
Róże, wieńczone zeszlęmi ostami...

A gdy się przed kim taka dusza zwierzy,
gdy go przepoi tym bólem Wszechświata,
niechęcią życia u życia rubieży: —

nad skronią z cierni koronę mu splata,
serce mu starga, jak sztandar na wieży...

Ból nad grobami w krwawej mgłę przelata...



Są dusze czyste... precudne w swej bieli,
z przyrosłą do nich niewinności szatą,
dusze — szczęśliwe za klasztorną kratą —
która na wieki je od świata dzieli...

Są dusze czyste... strąceni anieli
chyba je mieli przed Edenu stratą —
chwijne — wąpiące — miesięczną poświatą —
chcące świat zalać i zginąć w topieli...

Gdy srebrne noce jeziorne rozchwieje
rozmarzą smętkiem księżycowej dumy;
gdy z Czarnych Stawów halny wiatr przywieje

rozkołysanych kosodrzewin szumy: —
dusz wyzwolonych tumanne szaleje
pelzną nad wodą w śnieżnych wirchów tummy.





DZWON.

Z kościelnej wieży w noc księżycową
płynie jęk dzwonu w obłoczną toń...
płynie powitać jutrzeńkę nową
w szarawą, mglistą dal...

Dzwoń, dzwonie, dzwoń...

Niedługo — runą kościelne mury,
pęknie spiżowa Zygmunta skroń,
nad zwaliskami jękną wichury...
Nim pęknie serca stal —

dzwoń, dzwonie, dzwoń...

Pamiętam....

i wieścił światu cmentarny jęczał dzwon

białego kwiatu

zgon...

Niech dzwoni dzwon
niech wieści rychły skon
z wieżycy
i cichy czar trumnicy...



Pamiętam...
i wieścił światu
cmentarny jęczał dzwon
białego kwiatu
Tragiczny, krwawy zgon...
zgon...

Kraków, w czerwcu 1905.



DO ALBUMU Z. R.

W cieplarni wybujął blade asfodele..
Za oknem srebrna zima w śnieżystym rozkwicie..
Słońce nieśmiałe... korne... choć niby w zenicie..
Cień mętny — niebieskawy po śniegu się ściele..

Na szybach mróz wyrzeźbił osty i dzięgiele —
jak witraże kościelne — przepysznie — obficie --
wyrzeźbił kiedyś — rankiem — o jutrzennym świcie —
gdy tuliły kielichy senne asfodele..

Skrzą się — srebrzą dzięgiele i osty lodowe —
skrzą się bladą tęsknotą lez pokryształonych
zaklętych w mętne perły i w złoto wprawionych..

Rozkochany asfodel cudną chyli głowę
w całunku z martwym ostem Śmierć i Miłość pije..

Czyż wolisz przepalone tęsknicą lilije?

Kraków, w listopadzie 1905.

W SZALEŃCZY WIR.

W ostępach leśnych więdną trawy
przed wichrem szumnym gną się krzewy
łzy deszczu płyną na rozsnuty
pomiędzy pniami mech rudawy...

Tajemne wokół dźwięczą nuty
niedosłyszalne płyną śpiewy...

Między gotyckie słupy drzew
cień się nieśmiało wsuwa —
kędy — powiędłych liści krew
wzorzysty płaszcz rozsnuwa...

Mija gęstwiny — w dal pomyka
w szarawy bezkres pól...
Nad głową łśni mu skra płomyka...
Mknie w srebrnoszary bezmiar pól —
gdzie rządzi Ból —
— wszechwładny Król...

Nad rzeczną głębią płynie
powiewny -- biały cień...
tonie w nadbrzeżnych łóz gęstwinie
powiewny — biały cień —
ku zbrojnej w baszty skale płynie
powiewny cień...

Walc... płyną dźwięki... srebrna mgła...
wspomnień pajęcza — siwa przedza...
Marzenia... błyski... słońce... mgła...
przeżytych dni szaleństwa... nędza...
w brylantów tęczę jedna łąza
perlista wkryształona...

Cień się przemyka za oknami...
jęczy melodia... w półwyśniona —
w półmajająca pośród mgieł...

Cień się przemyka za oknami —
za matem zapotniałych szkieł...

Drzę... patrzę... patrzę...
w dal pomyka...
lęk siny... krew...
jak grzmi muzyka...

Dalej...
w szaleńczy wir
co biały kwiat
w żałobny kir
pośmiertnych szat
oplata...

Dalej...

w bezgwiezdną toń
gdzie błędne lśnią ogniki...
w bezgwiezdną toń —
krzyżowych mąk —
splicionych rąk —

i piersi Mnazydyki

szął suchotniczy...
w szaleńczy wir
co biały kwiat
w żałobny kir
pośmiertnych szat
na wieki... których nikt nie zliczy

oplata...

Kraków, w listopadzie 1905.



STANISŁAW MORGULEC

NA ME DZIECINNE ZŁOTE WŁOSY.
OTO JUŻ WIOSNA.
PATRZ — OTO IDZIE ŻYCIE.
W JESIENNEM ZŁOCIE STOJĘ.
W LISTOPADOWY SZARY DZIEŃ.
TĘSKNOTA.
WTEDY BZY KWITŁY.
SMUTNO MI BYŁO.
NA SZCZYCIE.



NA ME DZIECINNE ZŁOTE WŁOSY.

Na me dziecinne złote włosy
Upadły troski smugi,
Na złote, bujne w polu kłosa
Upadły deszczu strugi!..

Dziecinne oczy me niebieskie
Wyżarły gorzkie łzy,
Straciły przepych barw, królewskie
Dziewicze, wonne bzy...

Dziecinne serce me pośpiesznie
Radośnie biło tak,
Ucichło serce me zawczasie,
Jak w sidła wzięty ptak...

W dziecinną, chorą moją duszę
Trucizna życia płynie,
I dziecię - starzec, żyć wciąż muszę,
Nikogo ból nie minie...

Kijów, listopad 1904.



OTO JUŻ WIOSNA.

Oto już wiosna
Czarodziej - maj
Rozstawił swoje krosna
 Napięte strunami harf,
 I przędzie cudne zwoje szarf
 Z zapachu bzów,
 Z marzonych snów,
 Pólszeptu słów

Kochanej...

Z dali, od wilgotnych pól,
Od ugorów, łąków,
Pooranych ról,
 Gdy się gwiazdami wyiskrzy noc,
 Wypływa wielka, silna ziemi moc,

I serce mi rani,
I jacyś orli nieznani
Wstają — mocą tą gnani,
W mem sercu...

I serce mi się targa
I rwie do gwiazd,
I bezsilnie — w kurzu się szarga,
W szaleństwie wlecze się wśród złomów pni,
I drogę znaczy plamami krwi...
Płynie z dali dzwonów granie
Na jakiś pęd, na gnanie
W nieskończoność!... Chryste Panie
Jam bez sił...

Kijów,



PATRZ — OTO IDZIE ŻYCIE.

Patrz — oto idzie życie, kwiaty łamie,
W serca rzuca żal,
Więc uchodź!... Księżyc śmieje się do fal,
A gwiazdy ronią łzy...

Patrz — oto serce moje z tęsknot kona
Jak kwiat, co ginie,
Daj mi twe usta! Jak sen życie minie,
Jak wiosna, białe bzy...

W te złote twoje oplądziesz mię włosy...
Idzie sen rozkoszy...
Zapomnij o tem, że szczęście się płoszy
Przez bólu gorzkie łzy...

Woń bzów przecedna otoczy nas wkoło,
Snem kwiatów uśniemy,
Daj usta twoje! Razem w dal pójdziemy,
A szczęście - śmierć, nam dadzą białe bzy...



W JESIENNEM ZŁOCIE STOJĘ...

W jesiennem złocie stoję,
Jak we łzach rannych ros
Lillowy, zwiędły wrzos...

Lecieć na kwietne świata kobierce

Pełne cudnych kras!...

Zaszumił ciemny las:

„Czy masz ty w piersiach serce“?...

Opadły skrzydła smutne w czas

Rozmyślań...

Ach łodzią morze pruć —

W niebieskie płynąć dale!...

Zagrały ciche fale:

„Ach rzuć, ach rzuć

Marzenia“...

W dłoni mej pękły wiosła,

I woda je uniosła,

Ach jak mi szkoda, szkoda...

Wejść kędyś w cichy sad drzemiący
W złotościach słońca...
Ach! burzy siew
Pozrywał liście z drzew,
I szarpał je bez końca...
I śmiał się w ciemny las
Ukryty Szatan,
A jego śmiech
Rozbudził tysiąc ech
Wśród skał,
A wichur łkał...

W jesiennem złocie stoję
Jak we łzach rannych ros
Liliowy zwiędły wrzos...



W LISTOPADOWY SZARY DZIEŃ.

Deszcz dzwoni w okna — splywa potokami łez po szybach... A wiatr chwyta całe snopy strug deszczowych i rzuca nimi z jękiem i świstem... i płacze w złości i bezsilności swej... i rwie złote liście klonów, cytrynowe liście akacyi, czerwono - czarne liście wina dzikiego...

Drzewa stoją czarne, nasiaknięte wilgocią, brudne, nagie...

A wicher chodzi, i szarpie gałęzmi topoli przed mojem oknem.

Chmury wleką się nisko, szare, brudne, a pod nimi jak pęki waty tłuką się białe, ciężkie kłęby pary z fabrycznych kominów, rozlażą się niżej jeszcze, na dachy, i wpełzają między okopcone kominy, między czarne drzewa.

Taki okropny, zabijający smutek... pełen szarości miasta, nudny, straszny, bo jednostajny i chory.

To jesień...

Nie ta cicha, a smutna łagodnością, złota jesień poletnia, zasnuta niemi babiego lata, zadumana w bladym błękitcie nieba, takiego nieba, co to się w nie patrzy godzinami całemi, i widzi w niejasnych kształtach chmur, myśli dziwne i marzenia, słowa niewymówione, porywy duszy...

Nie ta, co rannym wschodem słońca, rozściela dziwne mamidła arkad, pałaców i błędnych postaci w tumanach mgły, przesyconej złotem ukośnych promieni słońca...

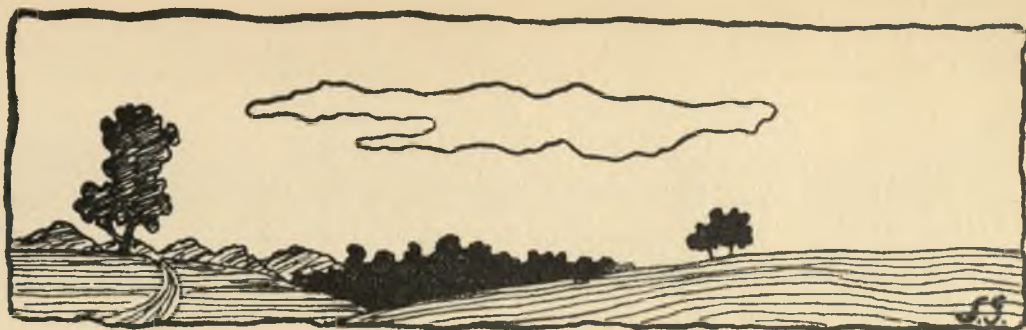
Nie ta jesień, co pieści miękiem dotknięciem ciepłego powietrza, jakby zastygłego w ciszy — gdy siedząc nad brzegiem stawu, patrzy się na ruchy złotych kolorowych liści leżących na fali.

Idzie fala powoli, cicho spokojnie, unosi liść, przechodzi pod nim — a liść złoty pozostał na tem samym miejscu, i czeka pocałunku innej fali, co idzie tam, hen od splątanych łodyg tataraku, gdzie białe puchy okwitłe pływają...

Nie ta jesień co sine dymy rozwłóczy po srebrnym tkanych ścierniskach, aż rozsnują się białym oparem na niebie pełnym ciszy i bladego słońca...

To nie ta jesień tęskniąca za latem, co było wczoraj, taka piękna w smutku i żałobie, żyjąca wspomnieniem wiosny, kwietnych dywanów łąk, i sadów pełnych zapachu różowych kwiatów jabłoni i białych drzew wiśniowych, brzęczenia pszczoł i grania polnych koników...

To nie ta jesień...



TĘSKNOTA.

Znów przysłaś do mnie tęsknoto — sestro moja — — —

Tak sennie chwieją się wielkie białe kwiaty, o dziwnie wygiętych kielichach...

Powstałaś przedemną z światła, z powietrza, mglista, szara jak ćma nocna, o oczach wielkich, łzawych, pełnych smutku, nieruchoma, cicha..

I skrzydła twe bez szelestu otoczyły głowę moją...

Skrzydła przejrzyste, mieniające się kolorami konchy perłowej, dziwnie utkane z tego co było już, co przeszło...

Utkane nocami, w ciche zapomnienie gwiazd, dźwiękami srebrnych harf, słów drogich, a przebrzmiałych...

Tak sennie chwieją się wielkie, białe kwiaty, o dziwnie wygiętych kielichach...

O przyjdź!

Wyśniona, jasna, moja...

Usta me tęsknią do ust twoich...

Oczy tęsknią do blasku przymkniętych oczu twych...

Piersiom brak zapachu złotych twoich włosów...

Rękom — miękkich dłoni twych białych...

Tęsknie do głosu twego, do słodkich słów twoich, do szeptu cichego jak dźwięki promieni gwiazd, jak szmer delikatnych płatków kwiecia, gdy na nie rosa pada kroplami brylantów...

O przyjdź!

Różami rozwiniętymi z pąków przez pocałunki me, uścielę ci drogę...

Różami purpurowemi jak krew...

Uścielę ci drogę światłem księżycy w nocie majowe...

Uścielę ci drogę ciszą wieczoru...

Wonią tuberoz...

O przyjdź!

Tam z za mórz błękitnych, z za szczytów sinawych gubiących wierzchołki w oponach obłoków, w poszumie wyniosłych buków o liściach ostrych, błyszczących, słyszę głos twój ukochany, pomimo szumu fal morskich i śpiewu leśnych drzew...

Dlaczegoś ty nie ze mną, ty blizka, a daleka, ty która kochasz mnie?

O przyjdź!

Różami rozwiniętymi z pąków przez pocałunki me, uścielę ci drogę...

Różami purpurowemi jak krew...

• • • • •
Tak sennie chwieją się wielkie białe kwiaty, o dziwnie wygiętych kielichach...



WTEDY BZY KWITŁY...

Wtedy bzy kwitły...

Bukiety kwiecica ociężałe przeginając gałęzie — niby spadające na ramiona sploty włosów nimfy siedzącej nad strumieniem — patrzyły w toni połyskliwą jeziora.

Wiatr cichym ciepłym pocałunkiem powiedział: „dobranoc“ górom i dolinom w zieleni, błękitom nieba, toniom wód — i usnął.

Czasem poruszał się nieuchwytnym drgnieniem, jak dziecię uśmiechające się przez sen.

Czasem ryba w srebrzystej łusce wyrzucała się w powietrze — szerokie koliska biegły ku brzegom i ginęły w sitowiach.

Zapach bzów rozlewał się w powietrzu.

Upajającą mgłą rozczółgał się nad wodą, owijał drzewa i krzaki, wciśkał się w zakątki najskrytsze....

Płynąłem z nią łodzią.

Łódź była z cyprysowego drzewa, z wygiętym jak harfa przodem, na którym naciągnięte były struny, końcami nurzające się w wodzie.

Cała łódź była osypana kwiatami bzu. Gałęzie kwitnące ciągnęły się po wodzie, kreśląc smugi srebrzyste..

Siedziałem przed nią, zapatrzony w jej oczy.

A ona kładła swe ręce na strunach nawiązanych u rufy — i struny śpiewały pod tknięciem jej palców, a za nimi śpiewały wody, i sitowia, i kwiecie bzu.

Wielki a łagodny hymn miłości biegł ku niebu, i echo powtarzało go sobie, rozkoszując się tonami serc.

Płynęliśmy powoli wzdłuż brzegów, wśród kwiatów, z pieśnią, a z pomiędzy drzew nadbrzeżnych wyglądały ku nam zasłuchane twarze satyrów i dryad.

Ona grała wciąż, białymi dłońmi dotykając srebrnych strun.

...Siedziałem oczarowany, bez żadnej myśli — prócz miłości — którą była Ona...

Płynęliśmy powoli wzdłuż brzegów jeziora.

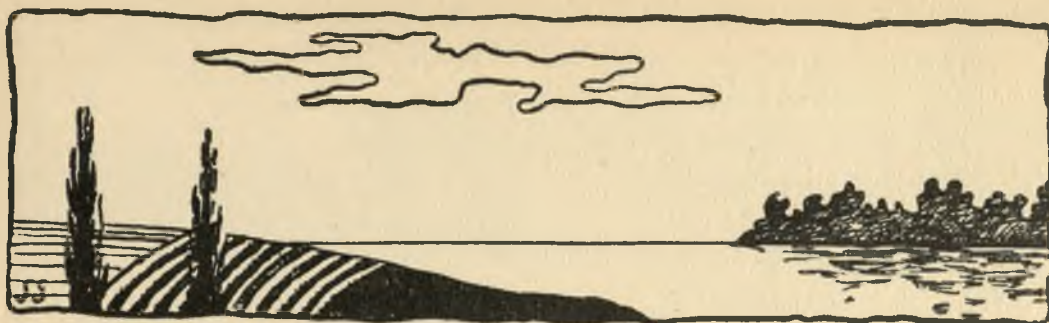
Z pomiędzy drzew nadbrzeżnych płynęły ku nam przytłumione tony hymnu, którego słowa powtarzały satyry i dryady w wieńcach z bzu na czołach...

Wtedy bzy kwitły...

Dziś jesień objęła ramionami świat. Przekwitły bzy. Wiatr miota falą, unosząc zwiędłe liście. Dryadom spadły wieńce z głów...

Tam na piasku nad jeziorem, leży łódź cyprysowa, pełna zwiędłego kwiecia bzów.

W zerwanych srebrnych strunach wiatr płacze, i echo odpowiada mu z daleka, od gór co sinym murem zamykają świat — od tych gór, u stóp których wtedy kwitły bzy...



SMUTNO MI BYŁO.

Smutno mi było...

Stałem przy oknie otwartem.

Słońce blade drzemało za chmurami.

Wiatr miotał konarami lipy.

Żałośnie jęczało okno targane wichurą.

Smutno mi było...

Wiedziałem, że ona, — jasna moja i umiłowana — chce bym był przy niej, bo jej źle i duszno...

Serce rwało się do niej.

O tak pragnąłem wziąć jej rękę, białą, kochaną rękę — i iść w dal.

I iść w życie...

Ale los nie chciał.

Smutno mi było...

Na stole stał bukiet czerwonych maków.

Wziąłem pełną dłońią purpurowe płatki i rzuciłem na wiatr.

Wicher porwał je, zakręcił niemi i ucichł nagle...
Jak wielkie, ciężkie, krwawe łzy — upadły na ziemię.
Na czarną, błotnistą, chłodną ziemię...
Jak wielkie, ciężkie, krwawe łzy —
Łzy którymi płacze ból.
Smutno mi było...





NA SZCZYCIE.

Jam król! Jam bóg...

Ostre linje piramid. Piasków żółte morze. Błękit nieba. Olbrzymia dal.
Fanfary trąb rwane wiatrem pustyni.

Wielki szum, niby fal morskich — szum milionów wojsk. „Zwycięzco —
cześć ci!”

Fanfary trąb miedzianych pokryły rozgłośny krzyk...

Stałem na złotym rydwanie zaprzężonym parą białych koni.

Dokoła tłumy zbroic, połyski mieczów, ognie jasne na ostrzach włóczni.
„Zwycięzco — cześć ci!”

Tłumy bojowników ruszyły w pochód i przechodziły koło mego rydwanu.

Niesiono sztandary, posągi bóstw, przeróżne naczynia złote i srebrne,
broń drogocenną, tkaniny, puhary — i rzucono na jeden stos, który rósł
ciągle i palił się w słońcu pustyni.

Nieprzeliczone, połyskliwe zastępy wynurzały się wciąż z obłoków ku-
rzawy, a złote promienie słońca łamały się na lśniących zbrojach.

Duma olbrzymia zalała mi serce —

Podniosłem ramię i zatoczyłem krąg dokoła:

To wszystko moje — i piasek i piramidy, i morze i drzewa i powietrze, i te tłumy ludu!..

Jam król! Jam bóg!

Fanfary trąb miedzianych wybuchły znów — z podwójną siłą.

Pod miarowemi krokami tysięcy stóp — tumany kurzu podniosły się ku niebu, przyćmiły słońce.

Przez tę złotawą półmgłę patrzył wielką twarzą Sfinks — i uśmiechał się...

Za wojskiem szli niewolnicy. Smutne, milczące zastępy. Włosy potargane — łyzy — dźwięki łańcuchów.

Przeszli — wlokąc z trudem kajdany, które zostawiały na piasku długie, nierówne smugi.

Za niemi szły niewolnice.

Zawodziły głośno, płaczą. Matki z maleńkimi dziećmi przy piersiach — dalej młode dziewczęta.

Jedna z nich nie płakała. Wzrok, mój wiedziony dziwną jakąś siłą — padł na nią.

Podniosła głowę i na chwilę oparła spojrzenie swe na moich oczach. Zadrzałem...

Bezwiednie zstąpiłem z rydwanu i szedłem ku niej, wpatrzony w jej oczy. Widziałem jej różowe ciało dziewczęce — niezupełnie jeszcze rozwinięte, a już boskie w swych linjach...

Jej włosy złote...

Usta wązkie, purpurowe, wygięte w nieuchwytną, delikatną linję...

Poszedłem do niej i upadłem przed nią na kolana...

...Tłumy zatrzymały się i stały milczące, w zdziwieniu...

Przypadłem ustami do jej bosych stóp i całowałem je... A ona łagodnie usunęła mię i przeszła.

Za nią posunął cały długi łańcuch innych niewolnic...

Leżałem twarzą na piasku pustyni i płakałem... Obok mnie przechodziły tysiące wojsk, niewolników, niesiono sztandary, posągi bóstw, przeróżne naczynia złote i srebrne, broń drogocenną, tkaniny, puławy... i rzucono na jeden wielki stos.

Aż żółty piasek pustyni wstał tumanem i mgłą złotawą przyćmił słońce — a z poza tej mgły, patrzył wielką twarzą Sfinks:

I uśmiechał się...



ZYGMUNT MOSIEWICZ

Z MOTYWÓW BOECKLINOWSKICH:
WYSPA UMARŁYCH.
GRA FAL.
ODYSEUSZ I KALIPSO.
PORTRET WŁASNY.
DROBNE WIERSZE (I — V).

Z MOTYWÓW BOECKLINOWSKICH.

I.

WYSPA UMARŁYCH.

Jest kraj posępny na kresach istnienia,
Gdzie myśl się kończy, gdzie życie ustaje, —
Wyspa z białego ciosana kamienia
I strojna w czarne cyprysowe gaje;
Oprawna w szafir milczącego morza,
Strzegąca głębi tajemnych niebytu...
A nad nią — półmrok wieczorny — pół-zorza
Księżycowego, sinawego świtu.

Na progu wyspy, ku sobie zwrócone
Leżą dwa sfinksy, wykute w granicie,
Jakgdyby strzegły, by się tam, szalone,
W tajniki śmierci, nie przedarło życie...
Milczące fale o brzegi się wsparły,

Milcząco bluszcze na grobowcach wiszą...
I leży wyspa ludzkości umarłej —
Straszną, potężną przepojona ciszą...

Tylko chwilami przez milczące tonie
Łodzi się czarnej przesuwają widziadło;
Siwy przewoźnik o wiosła wsparł dłońie,
Ale się morskie nie łamie zwierciadło,
Ani się głębia nieruchoma budzi...
I oto cicho u brzegu łódź staje,
Wychodzą cienie znicestwionych ludzi
I zwolna idą w cyprysowe gaje...

Idą milczące, idą pochylone
Cienie ofiary, i kątów, i wrogów, —
I wszystkie w jedną skierowane stronę:
Do bezistnienia granitowych progów
Miłość, nienawiść, i dobro, i zbrodnia,
I żal, i krzywda, i szalu płomienie
Zgasły, jak w morze rzucona pochodnia,
pozostawiając jedynie — milczenie...

A cienie idą — nieziemskiej powagi
I ciszy pełne — do głębi dalekiej
Tam, gdzie wykute w skałach sarkofagi
Przybycia gości czekają przez wieki...
I oto znikły bezcielesne cienie,
I znowu pustka na wyspie straszliwa,
I znowu cicho przez głębin milczenie
Siwy przewoźnik umarłych nadpływa...

O wyspo Śmierci posępna i głucha
Skąpana w sinym niebytu przedświcie,
Jaki szaleniec, jaki mocarz ducha
Mógł tak zapomnieć, że istnieje życie,
Aby potęgą swojej strasznej siły
Stworzyć się taką świątynią milczenia
O jakiej duszom zmęczonym mówiły
Tylko szaleństwo i sny z przedwcielenia?...

II.

GRA FAL.

Idą fale z bezbrzeżnej przestrzeni,
Morze lekko się pieni i wzdyma,
Błyszcząc cudnie od słońca promieni,
jakby łuska na zbroi olbrzyma...
Pustka wszędzie. Zaledwie w oddali
Skrzydło mowy wędrowniej zaświeci,
Muśnie tafel szmaragdu tej fali,
Błyśnie chwilę — i w bezmiar odleci...

W tem z głębin sinego przezrocza
Kształt się nagiej kobiety wychyla:
Pierś się morzu uśmiecha urocza,
Fale ciało całują co chwila,
Prują głębię dziewicze ramiona,
Śnieżna piana na włosy opada,

To ucieka od pieszczot trytona
Modrooka spłoszona najada.

Jedna, druga wynurza się z głębi
I w błękitne umyka przestrzenie;
Całe morze lubieżnie się kłębi,
Pieszcząc ciała nagiego płomienie...
Ryk się dziki z głębin odzywa,
Echo jękiem w bezmiarach opada,
I powoli po falach nadpływa
Rozszalałych wodników gromada...

Wrą zapasy miłosne, drżą ciała...
Dzika żądza strach wszelki przemaga...
Oto jedna wodnika porwała
I na karku zawisła mu naga,
Inne zbiegły, rozpierzcha się stado
Reszta ciemnych wodników je goni
A zwycięzca ze swoją najadą
W szmaragdowej zanurza się toni.

Znika w głębi kształt mięki i biały,
Znowu pustka na morzu bezbrzeżnem...
Fale zda się na chwilę omdlały
W jakimś cudnem uśpieniu lubieżnem,
Tylko słońce ozłaca bezmiary
Tylko piana srebrzystym lśni ściegiem,
I znów idą w nieznane obszary
Błędne fale w pogoni za brzegiem...

III.

ODYSEUSZ I KALIPSO.

Dałam ci boskie ciało moje,
Dałam ci pieśczoł moich czar,
Pałącej żądz niepokoję,
Zaspokojonych urok mar.

Kiedyś z obcego przyszedł świata
Na mojej leśnej chaty próg,
Ja cię przyjąłem jako brata,
Obmyłam rany twoich nóg.

Byłam posłuszną i uległą,
Współpowierniczką twoich snów...
I oto szczęście nas odbiegło
I nie powróci nigdy znów...

Stoisz ponury zamyślony,
Wpatrzony w morza siną dal...
Czy cię tam nęcą greckie strony,
Czy bieg swawolny morskich fal?

Może cię Troi spustoszenie,
I dawnej walki nęci bój?
Rozpogodź czoło, mój Hellenie,
Umiłowany Greku mój!

Poco przez krain rząd daleki
Na swój ojczysty pędzić próg?
Chodź! Twoją pragnę być na wieki
Jak najwierniejsza z twoich sług...

Chodź ramionami cię oplotę
O twój rycerski, krzepki kark,
Stłumię pragnienie i tęsknotę
Pałącym żarem moich warg...

Nie słyszy, stoi cichy, marzy,
Wpatrzony w morza siny kres...
Błyszczą na smutnej, męzkiej twarzy
Srebrzyste krople jego łez...

A mnie -- szaloną miłość czyni,
Wre żądza w głębi moich łon...
Mojro! zapomnij, żem bogini,
Ześlij mi ludzki, zwykły zgon...

IV.

PORTRET WŁASNY.

Nie przychodziła do mnie w weselnym ubiorze,
Nie była ona muzą, ni Egerją smutną —
W chwilach gdym myśli moich nieprzebrane morze
W harmonję barw widzialnych przelewał na płótno.

Stawała przy mnie cicha, całunem spowita,
Z pustem oczu wgłębieniem, z tragicznym uśmiechem
I czerep pochylała, jak ta, która pyta,
I zwolna mię mroziła mogilnym oddechem...

Lub biorąc w dłonie smyczek, grała pochylona,
Jak grajek fantastyczny niemieckiego mytu,
Jakaś pieśń pogrzebową — światu, który kona,
Jakiś hymn pożegnalny ginącego bytu...

A gdym stał zasluchany, podobny do głazu,
Ona treść nowych wizyj odkrywać zaczęła,
I rękę moją kładła na płótno obrazu,
I tak-em długie lata tworzył arcydzieła.

I pokochałem straszną, potężną, tajemną,
Boginię bezistnienia — królową pomoru,
I zawsze była przy mnie — zawsze była ze mną,
I na uczcie weselnej, i w godzinie tworzenia...

Wszędzie... w dąbrowie leśnej, i w pieczarze skalnej,
I na łożu kochanki, i na blizkich grobie —
Słyszałem szept tajemny, ledwie dosłyszalny:
„Mistrzu“ czy ty mię słyszysz?... jestem wciąż przy tobie..

.....
I oto dzisiaj przyszła godzina straszliwa;
Wyszedłem przed stalugi, aby z nową siłą
Nowe kształty wysnuwać — nowe cudy — dziwa...
Lecz próżnom myśli szukał: myśli mej nie było...

Więc głowę pochylilem zasłuchany w ciszę,
By ułoić szept straszny, tak dziwnie znajomy
I znaleźć w nim natchnienie, które rozkołysze
Spiącej duszy artysty uśpione ogromy.

Ona już stała za mną, — ale inna, nowa,
Nie taka jaką znała moja dusza chora...
..I szeptała mi cicho tajemnicze słowa:
„Pora kończyć, mój mistrzu! Pora kończyć... pora...”



DROBNE WIERSZE.

I.

Cudne aleje pełne cienia,
Lipcowej nocy ciepły czar,
Jakieś dziecinne rozmarzenia,
Jakiś niebiańskich szereg mar;

Miłosny uścisk dłoni malej,
Dyamentowe szczęścia łązy —
Gdzieście wy znikły, uleciały,
O, młodociane moje sny!..

II.

Kiedy ją ujrzysz, spytaj ją
Czy nowy jej oblubieniec,
Umie płomieniem swoich ust
Miłosny niecić rumieniec? —

Czy on tak umie w tajemny ton
Młodego serca uderzyć,
Czy on tak umie, jak przedtem ja,
Modlić się do niej — i wierzyć?..

III.

Chociażem chory marzeniem o tobie,
Choć niecisz miłość, nadzieję i trwogę,
Jednak ci wyznań miłosnych nie robię,
Ani ci duszy odsłonić nie mogę,

Zanim ostatnie przebłyski rozpaczy
Zwycięskie myśli odgonią i zwalczą —
Bo ja miłować nie umiem inaczej.
Jeno szalejąc i czcząc bałwochwalczo...

Więc stoję cichy, z bojaźną nadzieją,
Sztucznego chłodu przyodziany zbroją,
I tylko oczy promieniem goreją
I usta szepcą: „bądź moją, bądź moją“ ...

IV.

Już słońce zagasa w stubarwnym pożarze,
Już cisza wieczorna otacza mię w krąg...
Chodź do mnie, chodź prędzej, ja tęsknię, ja marzę,
Błagalnie wyciągam płomienie mych rąk!

Ja oddam ci wszystko, marzenie ty moje,
I myśli skrzydlate i pieśni mych plon...
Królestwa ci mego otworzę podwoje,
Jak panią wszechwładną powiodę na tron...

A jeśli ci mało — zaniecham przewodniej
Tej gwiazdy, co młode znaczyła mi sny,
I pójdę gdy każesz ku złemu i zbrodni,
Bo zbrodnia jest dobrem, gdy pragniesz jej ty!...

Dla ciebie ja z dumy swą duszę obnażę
I stanę pokorny wśród żalów i mąk...
Chodź jeno, chodź prędzej! Ja tęsknię, ja marzę,
Błagalnie wyciągam płomienie mych rąk...

V.

Patrz na mnie, jasna... w tych oczu błękicie
Płomień najczystszych uniesień jaśnieje,
Ten, który nowe rozświetla mi życie,
Ten, który nową obudza nadzieję...

Przychodzę oto okryty żalobą,
Przeszłość złożywszy w niepamięci grobie,
Nic nie mam z sobą i nic poza sobą
Oprócz miłości i myśli o tobie.

Ale ja niemi granity poruszę,
Przyszłość ci naszą umaję różanie,

Oddam ci myśli i serce i duszę,
Moje ty cudne, ostatnie kochanie!...

Będziesz boginią i będziesz królową
Najwierniejszego z walecznych rycerzy...
Stoję przed tobą i czekam na słowo,
Bo już me życie do ciebie należy...



ZYGMUNT MOSTOWSKI

CHRYSTUS.
WIECZNI TUŁACZE.
ZMIERZCHY.
WIERSZYK.
WEŻ W TWE BŁĘKITNE.
Z CYKLU „PROSEKTORYUM“.



CHRYSTUS.

Świat się pograżał już w wieczorne zmroki...
Półsenna cisza rozpostarła skrzydła...
Po niebie wlekły się krwawe obłoki,
Niby błędzące za słońcem straszydła.
Z arkad i sklepień skąpanych w półcieniu
Szły widma smutku, ciche, tajemnicze...
Chrystus stał tylko w jaskrawym płomieniu,
Chyląc ku ziemi zbolale oblicze.
Krzyż wielki, ciężki gniótł jego ramiona,
Kaleczył ciało i rozdzierał szaty,
Skronie szarpała cierniowa korona — — —
W męce stał Zbawca — Pan co stworzył światy,
Z głazu dobyty przez dłuto artysty;
A w wieńcu z cierni dwa cudne dyamenty
Rzucały promień mieniący się, czysty,
I blask nad głową roztaczały święty.
.....
Przed Synem Bożym stanął tłum żebraczy,

Bosy, półnagi, odziany w łachmany,
Zrodzony w nędzy, żyjący w rozpacz,
Z ciałem steranem przez choroby, rany —
Kłęknał, i w modłach płynęła mu z łona
Skarga na nędzę, tułactwo, niedolę...
A postać Zbawcy pod krzyżem zgarbiona
Miała cień smutku i bólu na czole...
Z tłumu wystąpił wychudły kaleka
I mówił głosem ochrypłym i drżącym:
„Panie, Tyś ucząc rzekł raz do człowieka:
Proście — a będzie wam dano proszącym
Ty widzisz Panie jak nędza nas targa,
Jak ból nam piersi schorzałe rozrywa,
Jak głód nas dręczy — nie słuszną to skarga?
Nie szczeraż łza ta co z oczu nam spływa?
Panie Tyś bogacz! Patrz wiele masz złota,
Ile klejnotów w tym wielkim kościele!
Garść jedna starczy, a wdowa, sierota,
Szczęścia, spokoju doznają tak wiele“...
Umilkł, do głowy posągu wniósł rękę,
Zdjął wieniec, w którym błyszczały dyamenty...
A Chrystus, jakby zmniejszono mu mękę
Stał w krwawym świetle pogodny i święty,
Tyłko od twarzy nie kamień siał blaski —
Lecz łzy dwie, pełne współczucia i łaski.



WIECZNI TUŁACZE.

Są duchy jasne, co przez życia szlaki,
Płyną gromadnie, jak wędrowne ptaki,
I wspólnie marzą, że w błękitnej dali,
Nim białe skrzydła opadną zmartwiałe,
Nim śmierć w ich serca skieruje swą strzałę —
— Dla nich się zorza różowa rozpali,
I zginą razem pośród świetlnej fali.

Są duchy, które płyną jedną drogą,
Ale się nigdy zrozumieć nie mogą.
Wieczni tułacze, obłąkani, biali,
Nie wiedzą, czemu razem na błękitnie
Zawiśli, płynąc przez to smutne życie,
Co ich na jednej kołyszce wciąż fali,
i każe, aby tak razem konali.



ZMIERZCHY.

Pamiętasz chwilę, kiedyśmy jak we śnie
Szli razem, cichą cienistą aleją
W kraj snów skrzydlatych, spłonionych nadzieją? —
A wiatr w gęstwinach grał wieczorne pieśnie,
A zachód krwawą palił się pożogą,
Purpurą barwiąc starych dębów wierzchy,
Gdy już po ziołach ślizgały się zmierzchy,
I kwiaty leśne tuliły się trwogą. —

Czy ty pamiętasz tę chwilę, dziewczyno? —
Wtenczas pragnąłem wyśpiewać ci szczerze
Wszystkie tęsknoty, jak ten wiatr pacierze
Szepczący smutnie wieczorną godziną.
Chciałem blaskami spłynąć na twe serce
Jak zachód luną na wierzchołków liście,
Każdą cię myślą całować tak mgliście,
Jak zmierzch, tulący sennych ziół kobierce..

Lecz głos mój zamarł, jak te leśne szumy
Stłumione nagle milczeniem zadumy,
I oczy tylko przez liljowe ciemnie
Wyznanie nieme słały ci tajemnie,
Gasnącą modłów bezdźwięcznych godziną:
Ukochałem cię dziewczyno...





WIERSZYK.

Noc ciepła, cudna noc majowa...
Gwiazdami ciche niebo lśni,
Tajemna płynie drzew rozmowa —
I gaj uśpiony dziwa śni...

Przez zielonkawą sieć sitowia
Księżyc w głąb srebrnych patrzy fal —
Świateł i cieni gra baśniowa,
I nieskończona, sina dal...

Harfiany hejnał słowik śpiewa,
W przestworze drży zachłanna moc
I w piersi mojej się rozlewa...

.
A wkoło ciepła, cudna noc...



WEŻ W TWE BŁĘKITNE...

Weż w twe błękitne, rozmarzone dłonie
Duszę szarpaną przez ból i tęsknicę...
Może ponad nią świt szczęścia zapłonie,
I opromieni moich łez krynicę.

Może po jutrzni strzelistym promieniu,
Spłyną Marzenia — jasne, ciche, śnieżne,
I staną białym szeregiem w milczeniu
Nad głębią krynic, jak brzozy nadbrzeżne.

Może łódź biała z ukojeń załogą
Srebrzysty żagiel nadziei rozwinie —
I pomknie cicha liljową snów drogą,
Po łez wylanych bezdennej głębinie.

Wtedy ostatnią może łzę uronię, —
Ale łzę szczęścia — w mych cierpień łzawnicę...
Ach weż w błękitne, rozmarzone dłonie,
Duszę szarpaną przez ból i tęsknicę...

Z CYKLU: „PROSEKTORYUM“.

Dzwoniąca cisza... Lamp gazowych sine smugi
Na rząd trupów ohydnych ospale się kładą...
W mrocznym cieniu śmierć patrzy z za każdej framugi
I strach twarz swą wychyla przerażoną, bladą...

Skostniałe ciała... na nich krwi zakrzepłej strugi...
Obrzękłe członki z barwą metalową, śniadą...
Kurczowo zwarte pięście... włos zwichrzony, długi...
A niemoc osłupienia nad całą gromadą.

W zapadłych oczodołach mrozem szkliste oczy...
Bezdeń niema przez sine rozwiera się usta...
A czerw w głębi swą pracę rozpoczął i toczy...

Czerw drąży... Cisza wkoło... Czas ponuro kroczy...
W tem zdała okrzyk wdarł się — jakaś śpiewka pusta
Z młodej piersi w tę ciszę śmiertelną się tłoczy....

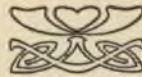


25.



Zauważone omyłki druku :

Str.	Wiersz	Wydrukowano :	Powinno być :
24	9 od góry	zdolna	zdolne
26	8 " "	łąbędzie	łąbędzie
45	3 od dołu	zapadła	zapadła
53	4 od góry	uszak	wszak
59	17 " "	ptaków	ptaków ;
61	6 od dołu	potrzebuje	potrzebuję
61	4 " "	zapytuje	zapytuję
62	7 od góry	wzystkich	wszystkich
68	10 od dołu	uwielbienie	uwielbienia
105	13 od góry	trystają	tryskają
125	7 " "	bezsilnie	bezsilne
129	6 " "	nasiaknięte	nasiąknięte
138	14 " "	płaczą	płakały
139	2 " "	przeprzeróżne	przeróżne
152	15 " "	promieniem	płomieniem



S P I S.

1) TREŚĆ.	str.
Wacław Biliński	1
Stanisław Gawiński	11
Wacław Grzybowski	39
Witold Klinger	49
Leszek Konopacki	57
Bolesław Koreywo	69
Mieczysław Kudelka	79
Edward Ligocki	85
Stanisław Morgulec	121
Zygmunt Mosiewicz	141
Zygmunt Mostowski	155

2) OZDOBY.

Oznaczona literami W. T. —	Wacława Tomaszewskiego
Oznaczone „ W. B. —	Wacława Bilińskiego
„ „ S. G. —	Stanisława Gawińskiego
„ „ S. T. —	Stanisława Trentowskiego.

20

alic. 128/54 v.



702. 1A



N.
P.T. 702
1906